

JACKIE STEVENS

MOZART, ANIOŁY I KROKODYL

Tytuł oryginału MOZART, ANGELS AND CROCODILE

*Mojej mamie i wszystkim mamom, babciom
i prababciom, które mylą żółwia z krokodylem.*

I tak je kochamy.

*Bo jakie to ma w końcu znaczenie -
żółw czy krokodyl?*

Brianna wiedziała, że przeprowadzki są okropne, choć nigdy dotąd sama w żadnej nie uczestniczyła. Zwlekała do ostatniej chwili, a kiedy w końcu musiała się za nią zabrać, wcale nie pocieszała jej myśl, że to, co ją czeka, nie jest takie straszne, ponieważ nie przeprowadza się do innego miasta czy domu, tylko z jednego pokoju do drugiego. Nie musiała nawet pakować rzeczy, wystarczyło je przenieść z jej pokoju na parterze do gościnnego na pierwszym piętrze, w którym miała teraz zamieszkać.

Gdy miesiąc temu dowiedziała się, że wkrótce wprowadzi się do nich prababcia, ani się z tego nie ucieszyła, ani jej to nie zmartwiło. Mieszkającą na Zachodnim Wybrzeżu babcię mamy widziała zaledwie kilka razy, i to tak dawno, że po tamtych spotkaniach pozostały tylko mgliste wspomnienia. Kiedy więc rodzice poinformowali ją o tym, wzruszyła ramionami i powiedziała:

- W porządku.

Zaprotestowała dopiero wtedy, gdy okazało się, że będzie musiała nowej lokatorce odstąpić swój pokój.

- Dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ twoja prababcia ma osiemdziesiąt osiem lat, jest po operacji biodra i trudno jej chodzić po schodach - odparła mama.

Na takie wyjaśnienie, oczywiście, Brianna nie mogła nic powiedzieć, ale wtedy zrodził się w niej lęk, że obecność starszej pani może zmienić jej życie w sposób, którego nawet nie potrafiła przewidzieć. Im bardziej zbliżała się data przyjazdu prababci, tym lęk był silniejszy.

Brianna została w domu sama. Rodzice polecili do San Francisco, gdzie mieli załatwić sprawy związane z przeprowadzką Lilly, jak nazywała swoją babcię mama Brianny, i wrócić z nią samolotem. Kiedy dziewczyna odwoziła ich na lotnisko, matka wyraźnie się niepokoila, że córka wciąż nie przeniosła swoich rzeczy. Brianna zapewniła ją, że pięć dni, które mieli spędzić na Zachodnim Wybrzeżu, w zupełności wystarczy na przygotowanie pokoju dla nowej lokatorki.

Jednak - może dlatego, że było jej trudno pożegnać się ze starym pokojem, a może ze zwykłego lenistwa - zwlekała i zabrała się za to dopiero w przeddzień ich powrotu, i to wcale nie z samego rana, lecz późnym popołudniem.

Już od ponad dwóch godzin biegała z parteru na pierwsze piętro i z powrotem,

przenosząc rzeczy. Zasapana wróciła z góry z pustym pudłem i, przysiadłszy na łóżku, rozejrzała się. Z przerażeniem pomyślała, że książki, ubrania, kosmetyki i inne należące do niej przedmioty w przedziwny sposób zaczęły się mnożyć. Wprost nie potrafiła uwierzyć, że mogły się dotąd pomieścić w szafie, komodach, w biurku i na półkach.

Wstając, usłyszała plusk. To jej ulubieniec, żółw, dostrzegłszy ruch, zeskoczył z kamienia, na którym wygrzewał się pod lampą, podpłynął do ściany akwarium i długimi pazurami zaczął drapać szkło, domagając się w ten sposób jedzenia. Dostawał je dwa razy w tygodniu - w środy i soboty. Chwilę trwało, zanim uzmysłowiła sobie, że jest czwartek i że zapomniała o wczorajszym karmieniu.

- Biedny Pan Żółw - powiedziała, podchodząc do akwarium.

Kiedy przed ośmiu laty dostała go na gwiazdkę, był wielkości pięćdziesięciocentówki i nawet Święty Mikołaj nie był w stanie dowiedzieć się w sklepie zoologicznym ani w hurtowni, w której zaopatrywał się w prezenty - wtedy wyobrażała sobie, że są specjalne hurtownie dla Świętych Mikołajów - czy jest to samiec, czy samica. Dlatego też zwlekała z nadaniem mu imienia do czasu, aż pozna jego płć. Dopiero po dwóch latach, gdy żółw z jakiegoś powodu przestał jeść, ona i tata zawieźli go do weterynarza specjalizującego się w leczeniu egzotycznych zwierząt. Weterynarz nie był pewien, z jakiego powodu stworzonko przestało jeść, natomiast nie miał wątpliwości co do jego płci. Pazury przednich kończyn i ogon - dłuższe niż u samic - jednoznacznie wskazywały, że jest samcem. Dostał witaminy i apetyt wkrótce mu wrócił, a Brianna, która wciąż nie mogła się zdecydować na imię dla swojego ulubieńca, zamiast „Żółwiu”, zaczęła do niego mówić „Panie Żółwiu”. I tak już zostało.

Przez osiem lat Pan Żółw wyrósł z małego stworzonka na zwierzaka wielkości dłoni, któremu nie wystarczało już małe czy nawet średniej wielkości akwarium. Chcąc mu zapewnić warunki jak najbardziej zbliżone do naturalnych, Brianna wydała przed rokiem wszystkie swoje oszczędności i Pan Żółw dostał nowe - zrobione na zamówienie i przystosowane do jego potrzeb. Zostało zaopatrzone w specjalne filtry, podgrzewacz wody, większe i mniejsze kamienie, na które mógł się wspinać, i mieściło się w nim dwieście litrów wody. Miało tylko jedną wadę. Zainstalowano je w pokoju Brianny na parterze i przeniesienie go na piętro było - według specjalisty, u którego rodzice zasięgnęli rady - niezwykle skomplikowane, ponieważ wymagałoby wzmocnienia stropu. Po niedogodnościach, jakie nie tak dawno znosili przez kilka miesięcy, kiedy dom był odnawiany, ani rodzice, ani Brianna nie marzyli o następnym remoncie. Stało więc na tym, że akwarium, przynajmniej na razie, zostanie tam, gdzie jest.

- Zaraz ci coś przyniosę - obiecała, stukając w szklaną ścianę.

Stała, przyglądając się Panu Żółwiowi. Czasami ją denerwował, kiedy w środku nocy wszczynał harce. Pluskał wodą, wdrapywał się na kamienie, skrobał pazurami szkło. To ostatnie było szczególnie irytujące. Ale teraz, słysząc ten nieprzyjemny dźwięk, z żalem pomyślała, że od jutra będzie zakłócał nocny spokój nie jej, tylko nowej mieszkance tego pokoju.

Przez chwilę obserwowała poczynania zgłodniałego zwierzaka, po czym poszła do kuchni, wyjęła z zamrażalnika kilka dużych krewetek, rozmroziła je w mikrofalówce, wróciła z nimi do pokoju i wrzuciła do akwarium. Lubiła patrzeć, jak Pan Żółw je, i choć czekało ją jeszcze mnóstwo pracy, nie odeszła, dopóki ostatnia krewetka nie zniknęła w jego paszczy.

Potem, nie zwracając sobie głowy sortowaniem, zapakowała książki z najniższej półki. Podniosła pudło, uznała, że nie jest zbyt ciężkie, dołożyła więc kilka z następnej. Ale kiedy weszła z nim na schody, stwierdziła, że jednak przesadziła, zwłaszcza że pudło było nie tylko ciężkie, ale i szerokie, a przez to niewygodne do niesienia.

Kiedy była w połowie schodów, zadzwonił telefon. Postanowiła go zignorować, po chwili jednak doszła do wniosku, że nie może tego zrobić. A jeśli to mama? Rodzice po raz pierwszy zostawili ją na tak długo samą w domu i dzwonili po kilka razy dziennie, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Raz zdarzyło jej się nie podnieść słuchawki, ponieważ brała prysznic i nie zdążyła dobiec do telefonu. Mama wpadła w panikę i kiedy Brianna, domyśliwszy się, że to ona, po kilku minutach oddzwoniła, matka była już na granicy hysterii.

Teraz, nie chcąc do tego dopuścić, położyła pudło na stopniu schodów i zawróciła. Zanim zbiegła na dół, pudło przechyliło się i książki zsunęły się po schodach.

- Auć! - zawołała, kiedy gruby leksykon uderzył ją w kostkę.

Rozcierając ją prawą ręką, lewą podniosła słuchawkę, z mocnym postanowieniem, że powie mamie, co myśli o jej nadopiekuńczości.

- To nie może być tak, że nie mam prawa spokojnie wziąć prysznic - zaczęła wojowniczo. - Że rzucam wszystko, co akurat robię, lecę na złamanie karku i tłukę sobie kostki, bo się boję, że jeśli nie odbiorę telefonu, ty od razu wpadniesz w panikę.

- Ja?! Nie wpadam w żadną panikę. I jeśli o mnie chodzi, możesz sobie brać prysznic nawet dziesięć razy dziennie. Chociaż to podobno niezdrowe.

- Cześć, Vicky - powiedziała Brianna, rozpoznawszy głos koleżanki. - Przepraszam, myślałam, że to mama. Rodzice polecili do San Francisco i dzwonią po kilka razy dziennie. Raz nie odebrałam i mama była już gotowa dzwonić na policję.

- Jesteś w domu sama?

- Od czterech dni.

- I dopiero teraz się o tym dowiaduję?! - zawołała Vicky. - Kiedy wracają?

Vicky nie była jej przyjaciółką, tylko jedną z wielu koleżanek, z którymi miała kontakt właściwie tylko w szkole, Brianna nie widziała więc nic dziwnego w tym, że nie jest zorientowana w jej rodzinnej sytuacji.

- Jutro - powiedziała.

- Za piętnaście minut jestem u ciebie. Z piżamą i szczoteczką do zębów.

- Vicky, nie! - zaprotestowała Brianna, ale było za późno. Koleżanka się rozłączyła.



Vicky, która mieszkała trzy ulice dalej, zjawiała się nie po kwadransie, tylko po dziesięciu minutach. Zadzwoniła do drzwi, ledwie Brianna zdążyła włożyć do pudła porozrzucane na schodach książki, zanieść je do swojego nowego pokoju i ustawić na półce. Jedną z nich był poradnik dla osób mających problemy z asertywnością, do których bez wątpienia się zaliczała. Kupiła go niedawno i jeszcze nawet do niego nie zajrzała.

Teraz pomyślała, że popełniła błąd - nie dlatego, że kupiła tę książkę, zwłaszcza że wypatrzyła ją w antykwariacie i kupiła za półtora dolara, ale dlatego, że jej nie przeczytała. Gdyby to zrobiła, być może łatwiej by jej było spławić koleżankę już na progu, tak jak zamierzała.

Nie mogła powiedzieć, że jej nie lubi; byłaby to nieprawda. Roztrzepana, nieobliczalna, egocentryczna Vicky miała swój urok, ale szybciej mówiła, niż myślała, i wytwarzała wokół siebie taki chaos, że po kilkunastu spędzonych z nią minutach Brianna czuła się po prostu zmęczona. Dwie przyjaciółki - Megan i Marsha - czasami nocowały u niej w weekendy albo ona u nich. Plotkowały do późnej nocy, rano jadły razem śniadanie i było fantastycznie.

Ale nie Vicky! Zwłaszcza dziś, kiedy zostało jej tylko kilkanaście godzin na przeniesienie swoich rzeczy na górę. Dochodziła ósma, a jutro w południe miała odebrać rodziców i prababcie z lotniska.

Idąc do drzwi, zamierzała wyjaśnić to wszystko Vicky. Tylko że nie przeczytała poradnika dla osób pozbawionych asertywności i pozwoliła jej wejść do przedpokoju. A potem, kiedy Vicky powiedziała, że strasznie chce jej się pić, zaprosiła ją do kuchni i naląa soku jabłkowego zmieszanego w stosunku jeden do dwóch z wodą sodową, z trzema kostkami lodu - dokładnie tak, jak zażyczyła sobie koleżanka.

Stawiając przed nią szklanke, zerknęła na leżący przy krześle plecak. Był wypchany. Pewnie poza pizamą i szczoteczką do zębów są w nim ubrania i bielizna na jutro, przemknęło jej przez głowę i pomyślała, że musi działać natychmiast.

- Wiesz Vicky, mam jeszcze dzisiaj mnóstwo pracy... - zaczęła niepewnym głosem.

Autor podręcznika dla asertywnie upośledzonych raczej nie zalecał swoim czytelnikom takiego przeproszającego tonu. W tym momencie Brianna pożałowała, że kupiła tę książkę w antykwariacie. Gdyby zapłaciła za nią dwadzieścia dolarów - tyle kosztowała w normalnej księgarni - przeczytałaby ją już dawno, bo zwykle przestrzegała zasady, że nie

należy wyrzucać pieniędzy w błoto.

- Pracy? - zdziwiła się Vicky. - A co takiego masz do roboty?

Swoim przyjaciółkom, Megan i Marshy, Brianna już dawno opowiedziała, że do ich domu wprowadzi się babcia mamy, ale z Vicky nie była aż tak blisko, żeby jej się ze wszystkiego zwierzać.

Kiedy teraz ją o tym poinformowała, Vicky skrzywiła się.

- To okropne - rzuciła. - W zeszłym roku była u nas matka taty. Tylko przez tydzień, ale to mi wystarczyło. Gdyby miała zostać na stałe, wylądowałabym w wariatkowie albo wyprowadziłabym się z domu.

- Może nie będzie aż tak źle - mruknęła Brianna. I tak była pełna obaw w związku z nową osobą, która miała się pojawić w ich życiu, i nie chciała dopuścić do tego, żeby Vicky jeszcze bardziej ją zdołowała swoim sceptycyzmem.

- Ja bym na to nie liczyła. Raczej spodziewałabym się, że będzie gorzej niż u mnie.

- Nie pamiętam jej wprawdzie, ale moja prababcia podobno jest bardzo miła.

- Właśnie! - prychnęła Vicky. - Nawet nie babcia, tylko prababcia. Ona musi mieć ze sto lat.

- Osiemdziesiąt osiem - sprostowała Brianna.

- Wystarczy. I tak ci nie zazdroszczę. Dlaczego twoja mama nie umieści jej w domu starców?

Vicky zaczynała ją coraz bardziej denerwować.

- Mówisz o człowieku, a nie o jakimś przedmiocie. Ludzi się nie umieszcza.

- Jak zwał, tak zwał. Moim zdaniem, starzy ludzie powinni żyć ze sobą, a nie zatruwać życie młodym.

Brianna przypomniała sobie, że podczas pierwszej rozmowy o tym, że będzie musiała zwolnić swój pokój dla Lilly, nieśmiało zasugerowała mamie, że skoro staruszka ma problem z poruszaniem się, może lepiej by się czuła w jakimś przyzwoitym domu spokojnej starości. Ale mama, która jako czteroletnie dziecko straciła rodziców, była tak przywiązana do swojej babci, że w ogóle nie chciała o tym słyszeć.

- Nie każdy traktuje starych ludzi jak dopust boży - zwróciła się do koleżanki, rozżłoszczona jej brakiem delikatności.

- Sama się przekonasz. - Vicky wzruszyła ramionami. - Mogłabyś mi nalać jeszcze raz to samo? - spytała, podsuwając Briannie pustą szklankę. - Ale nie dodawaj za dużo soku. Jedna miarka soku, dwie wody i trzy kostki lodu.

- Tak jak poprzednio?

- Nie, wlałaś za dużo soku.

- Wybacz, ale nie będę odmierzać - wycodziła przez zęby Brianna. - Nie mam czasu. Muszę się jak najszybciej zabrać za przenoszenie rzeczy.

- No to chyba przyszłam nie w porę.

Marsha i Megan w takiej sytuacji na pewno zaproponowałyby pomoc. Sama by je o nią poprosiła, gdyby teraz były w mieście, ale obie wyjechały na wakacje. Vicky nic takiego nie przyszło do głowy, zresztą nawet gdyby wpadła na taki pomysł, Brianna nie skorzystałaby z propozycji. Vicky ze swoim talentem do tworzenia wokół siebie chaosu bardziej by przeszkadzała, niż pomagała.

- A właśnie! - zawołała, kiedy Brianna podała jej napełnioną szklanekę. - Zapomniałam ci powiedzieć! Do domu obok nas w zeszłym tygodniu wprowadzili się nowi lokatorzy.

Brianna, nie starając się ukryć zniecierpliwienia, spojrzała na zegarek. Było wpół do dziewiątej i nawet jeśli w nowych sąsiadach koleżanki było coś interesującego - na co wskazywał entuzjazm w jej głosie - to mogła się o tym dowiedzieć kiedy indziej.

- Rodzina z trójką dzieci - ciągnęła Vicky. - Dwie dziewczynki, pięcio - albo sześćioletnie, i chłopak...

Zrobiła przerwę, a słowo „chłopak”, wypowiedziała takim tonem, że Brianna nie miała najmniejszych wątpliwości, że tylko ono było ważne.

- Facet nie z tej ziemi. Blondyn, metr dziewięćdziesiąt, może nawet trochę więcej. Mówię ci, takie ciacho, że ślinka cieknie na sam widok.

- Domyślam się, że już cię zaczął podrywać - powiedziała nieco złośliwie Brianna, Vicky była bowiem znana z opowieści o swoich niesamowitych podbojach, które, delikatnie mówiąc, były nieco naciągane... opowieści, nie podboje.

- Jeszcze nie... Chociaż dzisiaj rano, kiedy wyjmowałam ze skrzynki pocztę, a on podlewał trawnik, powiedział mi „cześć” i popatrzył na mnie tak... jakoś tak... no wiesz...

Brianna nie miała pojęcia, jak na nią popatrzył, i specjalnie jej to nie obchodziło.

- Jest w naszym wieku - ciągnęła Vicky. - Moja mama dowiedziała się dzisiaj od jego matki. A wiesz, co to oznacza?

Brianna pokręciła głową.

- Że jest duże prawdopodobieństwo, że będzie chodził do naszej szkoły - wyjaśniła Vicky.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Przecież musi się gdzieś uczyć, a w naszej dzielnicy nie ma innego liceum. Dziewczyny oszaleją, kiedy go zobaczą. Ale ja go sobie już zaklepałam - dodała szybko

Vicky. - Takiego ciacha nie dam sobie sprzątnąć sprzed nosa.

- Spokojna głowa. Żadna dziewczyna nie wytrzyma konkurencji z tobą. - Teraz sarkazm w głosie Brianny był tak wyraźny, że Vicky nie mogła go nie usłyszeć.

- Chyba nie jesteś dzisiaj w najlepszym humorze - zauważyła, przyglądając jej się przymrużonymi oczami.

- Po prostu jestem zajęta.

- Hmm. - Vicky wypila sok z wodą, wyjęła palcami stopioną do połowy kostkę lodu i włożyła do ust. - W takim razie nie będę ci przeszkadzać - dodała niewyraźnie, bo lód utrudniał jej mówienie.

Brianna zastanowiła się, co w takiej sytuacji jak ta doradzałby autor poradnika o asertywności, a że niczego nie wymyśliła, na wszelki wypadek w ogóle się nie odezwała, obawiając się, że może powiedzieć coś, co powstrzyma koleżankę przed wyjściem.

Postąpiła słusznie. Vicky wyjęła ze szklanki jeszcze jedną kostkę lodu, rozgryzła ją nerwowo i wstała.

- No to ja już pójde - oznajmiła, biorąc plecak. - Tak naprawdę nie ma nic lepszego niż własne łóżko.

- Życzę ci smacznego - powiedziała Brianna, odprowadzając ją do drzwi.

- Smacznego? - zdziwiła się koleżanka.

- Ciacho - przypomniała jej Brianna.

- Ach, tak. - Vicky uśmiechnęła się, jakby całkiem zapomniała, że jeszcze przed chwilą czuła się urażona. Pewnie właśnie dzięki temu, że nie była pamiętliwa, znajomi ją tolerowali mimo jej licznych wad. - Będzie moje, możesz być tego pewna.

Brianna zamknęła za nią drzwi i zanim zabrała się do pracy, na chwilę zatrzymała się przed lustrem w przedpokoju. Patrząc na swoje odbicie, trochę żałowała, że przed dwoma miesiącami do domu obok wprowadziło się małżeństwo z parą pięcioletnich bliźniaków. Byli sympatyczni, a dzieciaki słodkie, ale nie miałyby nic przeciwko temu, żeby w sąsiedztwie zamieszkał jej rówieśnik, blondyn, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ciacho...

Nie, nie ciacho. Nawet jeśli w rozmowach z dziewczynami czasami tak mówiła o przystojnych chłopakach, to wcale tak nie myślała. Rozumiała, że takie określenia są babskim odwetem za całe wieki, kiedy kobiety były traktowane przedmiotowo, ale przecież nie chciała, żeby role się odwróciły.

- Co mi chodzi po głowie? - spytała swojego odbicia w lustrze. Nie odpowiedziało jej, więc pokazała mu język, wróciła do JESZCZE swojego pokoju i zabrała się do roboty.

Zaczynało już świtać, kiedy położyła się spać w swoim nowym pokoju. Rodzice, chcąc jej wynagrodzić utratę tamtego, zgodzili się, by go urządziła tak, jak chce. Wprawdzie kiedy jej to obiecywali, Brianna nie wierzyła, że mama powstrzyma się i nie będzie się wtrącać, musiała jednak uczciwie przyznać, że tylko raz delikatnie zasugerowała jej, żeby wybrała nieco jaśniejszy odcień tapety, tłumacząc, że na większych powierzchniach kolory zawsze wydają się ciemniejsze. Brianna nie posłuchała, a teraz żałowała, choć nie powiedziała tego na głos. Jej nowy pokój był urządzony w stylu studia - dużo szkła, metalu, aluminiowe żaluzje, proste lampy, żadnych abażurów, firaneczek, falbaneczek czy tapet w różyczki. Już od kilku lat miała dosyć swojego infantylnie słodkiego pokoju, wykorzystwała więc okazję i jej nowe królestwo było ultranowoczesne.

Tylko że kiedy przed pójściem spać rozejrzała się, poczuła się dziwnie. Tak bardzo zatęskniła za swojskim ciepłem dawnego pokoju, że przez chwilę zastanawiała się, czy nie wziąć poduszki i kołdry, nie zejść na dół i nie spędzić w nim ostatniej nocy, a właściwie resztki nocy.

Kiedy zadzwonił budzik, miała ochotę przykryć go poduszką i spać dalej, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Musiała wstać, zebrać się szybko, jeszcze raz rzucić okiem na dom, żeby nie dać rodzicom na przyszłość argumentu, że nie można zostawiać jej samej, i wyjechać po nich na lotnisko.

Babcia Lilly - bo w drodze do domu ustaliły, że Brianna tak się będzie do niej zwracać - okazała się cudowna. Drobną staruszką z okrągłą buzią, przypominającą lalkę - nie Barbie, tylko taką staroświecką, porcelanową, tyle że bardziej pomarszczoną - i wspaniałymi siwymi włosami zaplecionymi w warkocz. Dopóki nie rozplotła go wieczorem, Brianna nie wierzyła, że nie jest doczepiony. Oprócz pięknych włosów Lilly miała śliczne dołeczki w policzkach. Niektórym robią się takie, kiedy się uśmiechają. Ona je po prostu miała. Może dlatego, że była pogodna i tak często się uśmiechała, że za którymś razem jej pozostały.

W drodze z lotniska prowadził tata, mama zajęła miejsce obok niego, a Brianna usiadła z tyłu z prababcią. Zanim dojechali do domu, była w niej zakochana, a kiedy, wysiadając z samochodu, przypomniała sobie, co na temat starych ludzi mówiła Vicky, pomyślała, że to były kompletne bzdury. Lilly, z tysiącem historii, które miała do opowiedzenia, okazała się tak zajmująca, że „umieszczenie” jej - jak to określiła Vicky - w domu opieki dla starszych ludzi byłoby ogromną stratą, i to nie dla niej.

Odkąd Brianna sięgała pamięcią, w lecie wyjeżdżała z rodzicami na wakacje. Mama i tata pracowali i czasami trudno było tak zgrać ich urlopy, żeby mogli sobie pozwolić na dłuższy wyjazd, ale zawsze udawało im się wygospodarować przynajmniej tydzień. W tym roku po raz pierwszy - w związku z przeprowadzką prababci - nigdzie razem nie wyjechali. Brianna przewidywała, że będą to zmarnowane wakacje, zwłaszcza że jej przyjaciółki, Megan i Marsha poleciały - jedna do Meksyku, druga na Bahamy. Sądziła, że nie będzie wiedziała, co ze sobą począć w opustoszałym mieście.

Mylła się. Dzięki Lilly ani przez chwilę się nie nudziła. Całymi godzinami siedziały w ogrodzie. Popijając mrożoną herbatę i pogryzając pyszne owsiane ciasteczka, które prababcia nauczyła ją piec, Brianna słuchała jej zajmujących opowieści albo przyglądała się, jak Lilly wypełnia gipsem różnej wielkości formy w kształcie aniołów, a po zastygnięciu maluje je, nadając każdej figurce niepowtarzalny wyraz.

W San Francisco Lilly prowadziła kiedyś galerię z rękodziełem. Przed kilku laty przejęła ją Martha Sellers, wnuczka jej przyjaciółki, ale Lilly wciąż tworzyła swoje piękne anioły i nie zamierzała z tego rezygnować nawet teraz, po przeprowadzce. Umówiła się z Martha, że będzie je do niej wysyłać.

- Gdybyśmy się rozejrzały, na pewno znalazłybyśmy odbiorców u nas - powiedziała któregoś dnia Brianna, biorąc do ręki gotowego anioła, który spodobał jej się najbardziej.

- Tak myślisz?

- Jestem pewna.

- Hm... - Lilly zastanowiła się. - Może warto spróbować...

- Jest taka malutka galeria, w której mają podobne rzeczy - przypomniała sobie dziewczyna.

Od jakiegoś czasu obiecywała prababci, że pokaże jej miasto. Dzień był pogodny, ale nie tak upalny jak ostatnie; idealnie nadawał się na wędrowki po mieście. A przy okazji wpadłyby do galerii. Spojrzała na zegarek.

- Jest dopiero dwunasta. Mogłybyśmy tam pojechać.

- Teraz?

Brianna zapomniała, że Lilly ma osiemdziesiąt osiem lat, a dla ludzi w tym wieku zwykły wyjazd do miasta może być poważną wyprawą. Tymczasem Lilly spojrzała tylko na swoje umazane farbą dłonie i bez wahania powiedziała:

- Umyję tylko ręce, włożę coś przyzwoitszego - pracowała w sięgającej kostek, szerokiej płóciennej sukience, upstrzonej kolorowymi plamami z farby - i możemy ruszać.

Po dziesięciu minutach czekała już na prawnuczkę, której przebranie się zajęło więcej czasu.

Po drodze do miasta Brianna przypomniała sobie o jeszcze jednym sklepiku z rękodziełem. Pojechały tam najpierw, ale nie było właściciela, a mało sympatycznej ekspedientce nie chciało się nawet rzucić okiem na trzy anioły, które uznały za najładniejsze i wzięły ze sobą jako egzemplarze okazowe. Za to właścicielka drugiej galerii, znajdującej się kilka ulic dalej, aż się uśmiechnęła na ich widok. A jeszcze szerzej uśmiechnęła się, gdy Lilly podała cenę, jaką chciałyby za nie dostać, po czym bez chwili zastanowienia wyjęła książeczkę, wystawiła czek i zanim opuściły sklepik, zamówiła następną partię aniołów.

- I w ten sposób zostałam moim marszandem - oznajmiła Lilly, kiedy wyszły na ulicę. - To dla ciebie - powiedziała, wyciągając w stronę prawnuczki rękę z czekiem.

- Nie żartuj, babciu Lilly - rzuciła dziewczyna, cofając się. - To twoje pieniądze.

- Ale ty jesteś moim pośrednikiem.

Brianna bardzo się ucieszyła, że znalazły odbiorcę dla dzieł Lilly, i nie byłaby szczerą wobec siebie, gdyby zaprzeczała, że dużą część zasługi za to przypisuje sobie. Ale pieniądze? Nie.

Pokręciła głową.

- A gdybym cię poprosiła, żebyś mi pomogła przy aniołach? - spytała babcia.

Brianna już niejednokrotnie chciała ją spytać, czy nie mogłaby wziąć jednej gipsowej figurki i pomalować. Powstrzymywała się tylko dlatego, że dzieła Lilly były tak piękne, że jej anioł na pewno wyglądałby przy nich żałośnie.

- Bardzo bym chciała, ale nie wiem, czy potrafię - powiedziała.

- Spróbujmy.

Dziewczyna najchętniej od razu wróciłaby do domu, żeby się za to zabrać. Lilly miała jednak inny pomysł. Wpadła na to, kiedy idąc do samochodu, mijaly butik, którego wystawa przyciągnęła uwagę jej prawnuczki.

- Skoro nie chcesz przyjąć czeku jako swojej prowizji, wejdziemy do tego sklepu i wybierzesz sobie coś, co ci się spodoba.

Brianna wiedziała nawet, co by się jej spodobało. Sukienka do kostek. Uwielbiała długie kiecki i na początku lata przymierzyła kilkanaście, ale w każdej sprawiała wrażenie wystrojonej. A marzyła o takiej, którą mogłaby nosić na co dzień, nie wyglądając przy tym tak, jakby się wybierała na imprezę albo do teatru.

Ta na wystawie, która przyciągnęła jej wzrok, była odlotowa, a jednocześnie prosta. W szaro - czarną kratkę, z lekko pogniecionego bawełnianego materiału, z wycięciem w karo i podwyższoną talią. To było to, czego szukała, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Tak, jakby projektant tej sukienki wkraść się w podświadomość Brianny i zaczerpnął z niej inspirację. Tyle że akurat ten projektant nie musiał się wkładać w niczyją świadomość czy podświadomość, ponieważ był genialny i dlatego jego ciuchy można było kupić tylko w drogich sklepach, takich jak ten, przy którym się zatrzymały. Do takich butików nigdy nie wchodziła.

- To jest bardzo drogi sklep - zwróciła się do Lilly.

- Ale mają letnią wyprzedaż. Rzeczywiście, pierwotne ceny były przekreślone, a pod nimi widniały prawie o połowę niższe.

- Wchodzimy - zarządziła Lilly, kierując się w stronę wejścia do butiku. - Nie otworzysz starej kobiecie drzwi? - spytała, widząc, że prawnuczka nie rusza się z miejsca. - Jutro tej sukienki w szaro - czarną kratkę, której się tak przyglądałaś, pewnie już nie będzie. I będziesz żałować, że nie pozwoliłaś jej sobie kupić.

Brianna spojrzała na cenę. Sto osiemdziesiąt dolarów. Dokładnie tyle, na ile opiewał czek od właścicielki galerii.

- Będę ci przygotowywać gips na anioły, będę myć formy, pędzle, będę... - Myślała usilnie nad tym, co mogłaby jeszcze robić, ale nic innego nie przyszło jej do głowy, a że Lilly, chcąc otworzyć drzwi, już przekładała z prawej ręki do lewej łaskę, bez której nie mogła chodzić, w ułamku sekundy znalazła się przy niej.

Dołki na policzkach pogłębiły się, a siatka zmarszczek wokół oczu stała się wyraźniejsza, kiedy prababcia się uśmiechnęła.

Okazało się, że została już tylko jedna taka sukienka, ta na wystawie, a ekspedientka nie знаła jej rozmiaru.

- Trudno - powiedziała trochę rozczarowana Brianna, zaczęła się bowiem przyzwyczajając do myśli, że kiecka będzie należała do niej.

- Nie rezygnuj tak szybko - poradziła jej Lilly. Dziewczyna wątpiła jednak, czy ekspedientce zechce się zdejmować ubranie z manekina; w sklepach, w których dotychczas robiła zakupy, raczej się to nie zdarzało. Co najwyżej można je było zarezerwować i przyjąć, kiedy będzie zmieniana wystawa. Briannie sukienka podobała się tak bardzo, że byłaby gotowa to zrobić, ale z doświadczenia wiedziała, że jeśli pozostawał jedyny egzemplarz, zwykle nie był w jej rozmiarze.

- Pani na pewno będzie taka uprzejma, że sprawdzi, jaki to rozmiar, i jeśli będzie twój,

zdejmie ją z wystawy, prawda? - Lilly zwróciła się do ekspedientki bardzo uprzejmie i z uśmiechem, ale w jej tonie było coś takiego, że kobieta zawahała się tylko na sekundę, po czym odparła:

- Oczywiście. - Podeszła do manekina i odszukała metkę. - To jest ikseska - oznajmiła i, oceniwszy wzrokiem młodszą z klientek, dodała: - Powinna pasować.

Brianna nie wierzyła własnym uszom. Weszła z wręczoną przez ekspedientkę sukienką do kabiny i przymierzyła ją pośpiesznie. Leżała idealnie. Kiedy wyszła, jej prababcia potwierdziła to, cmokając z uznaniem.

- Babciu Lilly... - powiedział nieśmiało dziewczyna, pokazując jej metkę z ceną.

- Wyglądasz w niej ślicznie, kupujemy - oświadczyła starsza pani. - Przebieraj się szybciotko.

- Aż szkoda mi ją zdejmować - rzuciła Brianna, obracając się wokół własnej osi.

- W takim razie zostań w niej. Nawet dobrze się składa, bo zamierzałam cię zaprosić na wytworny lancz do tej francuskiej restauracji, obok której przed chwilą przechodziłyśmy.

Prawnuczka miała ochotę posłuchać jej rady, ale wątpliwości budziły w niej sandały z surowej skóry, pasujące do luźnych džinsów do kolan i sportowej koszulki, w których tu przyszła, ale niekoniecznie do sukienki.

Lilly odgadła jej myśli.

- Nie mów mi, że się przejmujesz butami. Kto powiedział, że do sukienki trzeba nosić eleganckie obuwie? - spytała i końcem łaski stuknęła w swój dosyć siermiężny but.

- No... nie wiem kto - bąknęła Brianna.

- A ja wiem.

- Kto? Moja mama? - Matka Brianny zawsze bardzo starannie dobierała stroje i dodatki.

Lilly roześmiała się.

- Tak, twoja mama w życiu nie wzięłaby brązowej torebki, jeśli na nogach miałyby czarne buty.

- Ja też - powiedziała Brianna. Prababcia spojrzała na nią zdziwiona.

- Ciebie nie podejrzewałabym o to, że musisz mieć buty w tym samym kolorze co torebkę.

- I słusznie. Nie znoszę ubierania się pod kolor.

- Więc o co chodzi z tymi czarnymi butami i brązową torebką? - zainteresowała się Lilly.

Jej prawnuczka roześmiała się.

- Po prostu nie znoszę brązu - wyjaśniła.

- Wiesz, że ja też.

Brianna nie miała pojęcia o genetyce, ale gdzieś słyszała, że pewne cechy są dziedziczne w drugim pokoleniu. Nie wiedziała, czy ta teza została udowodniona naukowo, ale może rzeczywiście coś w niej było.

Lilly płaciła, ekspedientka pakowała znoszone džinsy i koszulkę do firmowej torby, a Brianna wciąż o tym myślała. Dopiero kiedy wyszły z butiku, przyszło jej do głowy, że to kompletna bzdura. Przecież Lilly była jej prababcią, dzieliły je więc dwa pokolenia, a nie jedno.

- Nad czym się tak zastanawiasz? - spytała Lilly.

- Nad genetyką. Starsza pani uniosła brwi.

- Zaskoczyłaś mnie - powiedziała. - Może dziesięć dni spędzonych z kimś to za mało, żeby wyrobić sobie opinię o jego osobowości, ale i tak twierzę, że jesteś humanistką. - Zastanowiła się i po chwili dodała: - Humanistką z ciągotami artystycznymi.

- Bo jestem humanistką, uwielbiam literaturę, chciałabym studiować historię sztuki...

- Ale genetyka - przerwała jej Lilly - to przecież jedna z najbardziej ścisłych nauk.

- To prawda - przyznała Brianna. - Nie mam o niej zielonego pojęcia i jest to dziedzina, której nie zamierzam zgłębiać.

Lilly - mimo młodego ducha, dziewczęcych dołków na policzkach i oczu promieniających dziecięcą radością - miała osiemdziesięcioośmioletni, ograniczający ją organizm. Nawet dzięki lasce i ramieniu prawnuczki, na którym się wspierała, nie mogła iść szybciej, niż pozwalały jej na to stawy.

Zanim więc dotarły do francuskiej restauracji, mieszczącej się w pasażu oddalonym jakieś trzysta metrów od butiku, dwie zagorzałe przeciwniczki nauk ścisłych jednomyślnie doszły do wniosku, że genetyka to niewypał, ponieważ one - prababcia i prawnuczka - były tak do siebie podobne i tak wspaniale spędzały razem czas, że wywody o dziedziczeniu cech w drugim pokoleniu musiały być bzdurą.

Podczas lanczu starsza pani wypytywała Briannę o szkołę, przyjaciół i znajomych. Dziewczyna chętnie opowiadała i obiecała, że kiedy tylko Megan i Marsha wrócą z wakacji, zaprosi obie, żeby Lilly mogła je poznać.

- A chłopcy? - spytała Lilly konfidenicznym tonem.

- Chłopcy...? - Brianna uśmiechnęła się, że nie zrozumiała pytania, ale zdradziły ją rumieńce na policzkach. - Mam kilku kolegów.

- Moja droga, jestem za stara, żebyś mogła mnie oszukać. Wiesz dobrze, że nie pytam

o kolegów, tylko o tego jednego chłopaka.

Przekomarzały się przez chwilę, potem wybrały z karty potrawy, a kiedy kelner mówiący z francuskim akcentem przyjął zamówienie, wróciły do rozmowy.

Brianna czuła się w towarzystwie prababci tak wspaniale, że nawet nie przeszkadzało jej to, że usłyszała od niej kilka historii, którymi Lilly uraczyła ją już parę dni wcześniej.

Ona ma taki dar opowiadania, że mogą ich słuchać po sto razy, uznała i nawet nie przeszło jej przez myśl, że wkrótce może zmienić zdanie.



Nadszedł koniec wakacji. Brianna z lekkim żalem pomyślała o tym, że znów trzeba będzie zacząć wcześniej wstawać, wysilać się na ciężko dla niej strawnej matematyce, słuchać pana Traventiego, którego wykłady z historii były tak nudne, że fakt, iż dotychczas nie zraził jej do tego przedmiotu, zakrawał na cud, i przykładać się do nauki bardziej niż w latach poprzednich, ponieważ od ocen uzyskanych w tym roku w dużym stopniu będzie zależało, na jakie studia się dostanie. Z drugiej strony cieszyła się, że po długiej przerwie zobaczy znajomych, bo poza tym, że przypadkiem spotkała na mieście kilka osób i po powrocie z wakacji odwiedziły ją Megan i Marsha, nie miała kontaktów z rówieśnikami i trochę jej tego brakowało.

Wychodziła więc z domu uśmiechnięta, ciekawa, czy inne koleżanki zmieniły się tak jak Megan i Marsha, które po kilku wakacyjnych tygodniach wydały jej się bardziej dorosłe. Gdyby tak było w przypadku pozostałych, oznaczałoby to, że ona, Brianna, jako jedyna będzie wyglądać dziecinnie, bo u siebie nie dostrzegła żadnych zmian.

Ani nie urosłam, ani nie stałam się bardziej kobieca, stwierdziła, zatrzymując się na chwilę przy lustrze w przedpokoju. Kiedy obserwowała swoje odbicie, z pokoju, który kiedyś należał do niej, wyszła Lilly.

- Dzień dobry, kochanie - przywitała się, uśmiechając się promiennie do prawnuczki.

- Bab... - Brianna rozmyśliła się i nie przypomniała jej, że przecież już się dzisiaj widziały. Uznała, że będzie prościej odpowiedzieć powitaniem, niż, mówiąc prawdę, wprawiać ją w zakłopotanie. - Dzień dobry, babciu Lilly. I od razu do widzenia. Muszę lecieć, bo się spóźnię na autobus.

- A gdzie to się tak śpieszysz?

Dziewczynę zatkało. Od kilku dni mówiła o końcu wakacji. Wczoraj wieczorem, kiedy przyszła do jej pokoju, żeby nakarmić Pana Żółwia, Lilly zaczęła opowiadać o czymś, co zdarzyło się w czasach jej młodości. Już po kilku słowach Brianna domyśliła się, że to ta sama historia, której wysłuchała poprzedniego dnia, choć znała ją już sprzed tygodnia. Zwykle była cierpliwa i starała się unikać sprawiana jej przykrości przypomnianiem, że już to opowiadała. Wczoraj również się powstrzymała. Wytłumaczyła więc, że jest późno, a rano musi wcześniej wstać, ponieważ idzie do szkoły.

- Do szkoły - odparła teraz, zakłopotana.

- Do szkoły? - zdziwiła się starsza pani. - Przecież są wakacje.

- Właśnie się skończyły.

- Nie miałam pojęcia.

Mówiłam o tym sto razy, zdusiła w ustach Brianna.

- Muszę pędzić. Pa, babciu Lilly - rzuciła i wybiegła z domu, zostawiając zdziwioną prababcię w przedpokoju.

W drodze na przystanek myślała o niej, o tym, jak często myli imiona i na Briannę mówi Linda, a na jej mamę, która właśnie tak miała na imię, Brianna, o tym, jak po kilka razy opowiada te same historie albo zadaje te same pytania. Wciąż uważała Lilly za wspaniałą kobietę, ale nie była w stanie dłużej wypierać faktu, że z jej pamięcią nie jest najlepiej.

Na przystanku czekała już Megan, z którą zawsze razem jeździły do szkoły, i spotkanie z przyjaciółką odciągnęło jej myśli od tego dość przykrego tematu. Mimo że Megan odwiedziła ją ostatnio i po jej powrocie z wakacji codziennie rozmawiały przez telefon, wciąż miały mnóstwo spraw do omówienia.

Na kolejnych przystankach wsiadali znajomi ze szkoły i atmosfera w autobusie zaczęła przypominać tę panującą na szkolnym korytarzu pierwszego dnia nowego roku szkolnego.

- Cześć, dziewczyny, ale się z was zrobiły laski w czasie tych wakacji! - zawołał z drugiego końca autobusu Bob Bradley do Brianny, Megan, Vicky i Sarah.

- Za to ty się nic nie zmieniłeś! - odrzyknęła Sarah, znana z ciętego języka. - Nic nie urosłeś. Dalej jesteś przykrótki!

- To, co powiedziałem, nie odnosiło się do ciebie! - nie pozostał jej dłużny Bob. - Bo ty urosłaś, tylko że nie w górę!

- Ha, ha, ha! - zarechotała Sarah na cały autobus. Rzeczywiście przybyło jej parę kilogramów, ale należała do tych nielicznych dziewcząt, które nie przejmują się swoją wagą, i nie zepsuła jej humoru pozornie życzliwa uwaga Vicky:

- To pewnie przez tę obcisłą bluzkę w poziome paski wyglądasz, jakbyś przytyła.

Brianna bardzo lubiła Sarah i choć wiedziała, że nie musi przychodzić jej z pomocą, bo ze swoim ciętym językiem zwykle radziła sobie sama, zapragnęła odegrać się na Vicky. Domyśliła się, że jej znajomość z chłopakiem, o którym mówiła podczas niespodziewanej wizyty w przeddzień przyjazdu babci Lilly, nie posunęła się do przodu ani o krok. W przeciwnym razie Vicky chwaliłaby się tym podbojem zaraz po wejściu do autobusu.

- A jak tam twój nowy sąsiad? To ciacho, o którym mówiłaś kilka tygodni temu. Już je zjadłaś?

- Jaki chłopak? - zaciekała się Megan.

- Ciacho? Jezu, jak ja bym zjadła jakieś ciacho! - zawołała Sarah. - Vicky, masz jakieś ciacho? Dasz mi? Albo przynajmniej się podzielisz?

- Vicky ma nowego sąsiada - wyjaśniła Brianna.

- A, takie ciacho. - Sarah machnęła ręką. - Myślałam o takim z lukrem albo polanym czekoladą.

- No właśnie. Myślisz tylko o tym, a potem się dziwisz, że widać skutki - powiedziała Vicky.

- Ja? Ja się wcale nie dziwię.

- No dobrze, ale co z tym twoim sąsiadem? - dążyła Brianna, widząc po minie Vicky, że nie bardzo ma się czym pochwalić.

- Wszystko jest na dobrej drodze.

- To znaczy?

- Kiedy mówimy sobie cześć, patrzy na mnie... no... obiecująco.

- O, Jezu - westchnęła Sarah. - Co to znaczy „patrzeć obiecująco”? Wyjaśnij mi, po czym się rozpoznaje, że ktoś patrzy obiecująco.

- To chyba nie jest możliwe. Żebyś była w stanie to zrozumieć, ktoś musiałby tak na ciebie popatrzeć. - Vicky uśmiechnęła się triumfująco i dodała: - A nie sądzę żeby się to kiedyś zdarzyło.

Sarah, która zwykle znajdowała jakąś - najczęściej dowcipną - odpowiedź, teraz się nie odezwała. Brianna domyśliła się, że zrobiło jej się przykro, i nie chcąc, żeby Vicky miała ostatnie słowo, przypomniała jej:

- O tym, że patrzył na ciebie obiecująco, wspominałaś, kiedy widziałyśmy się poprzednim razem, a od tego czasu minęły trzy tygodnie. Nic się po drodze nie wydarzyło? Mówiłaś, że on może będzie chodził do naszej szkoły.

- Nie wiem. Dzisiaj się przekonamy.

- To niewiele wiesz - zauważyła Brianna.

- Wiem, jak ma na imię. Russell.

- O! To wielki sukces.

- Ważne jest osiągnięcie celu, a nie to, w jaki sposób się go osiągnie - odparła Vicky, wyczuwając sarkazm w głosie Brianny.

- Uważaj tylko, żeby ktoś nie osiągnął tego celu przed tobą.

- Już ty się o to nie martw. - Vicky zastanowiła się, po czym spojrzała złośliwie na Briannę. - A właśnie! Jak ci się mieszka z tą twoją prapraprababcią? - spytała. - Już ci dała popalić?

- Wyobraź sobie, że jest fantastyczna - odparła Brianna, która w tej chwili zupełnie zapomniała o wątpliwościach, jakie miała przed kwadrans, i nie pozwoliłaby powiedzieć złego słowa o Lilly.

- To prawda - wtrąciła się Megan, która z natury była małomówna i do tej pory niewiele się odzywała.

Kiedy na ostatnim przystanku przed szkołą do autobusu wsiedli Matt Morris i Caleb Gilmore, dziewczyny skończyły ze wzajemnymi złośliwościami i ściszonymi głosami zaczęły wymieniać uwagi na ich temat. Obaj w czasie wakacji urosli po kilka centymetrów i tak zmężnieli, że nie mogły uwierzyć własnym oczom.

- Wreszcie mamy w szkole prawdziwych facetów, a nie dzieciaki z mlekiem pod nosem - powiedziała Vicky.

Brianna powstrzymała się od komentarza. Na ile znała Matta i Caleba, wątpiła, żeby ich zewnętrzna przemiana szła w parze z dojrzwaniem wewnętrznym. Kiedy wszyscy wysiedli z autobusu i szli w stronę głównego wejścia do szkoły, przyglądała im się przez chwilę, po czym stwierdziła, że się nie myliła. Ich zachowanie było tak samo dziecinne jak przed wakacjami.

- Mam dzieciaki z mlekiem pod nosem, które wyglądają na facetów - zwróciła się do Megan, a ta skinęła głową.

- Na szczęście są też tacy jak Johnny Bradfield albo Daniel Booth.

- Niestety, obaj zajęci.

- To prawda - przyznała Megan.

Jeden z chłopców, o których mówiły, Johnny, spotykał się z ich przyjaciółką Marshą. Kiedy pół roku temu stali się parą, Briannie i Megan było trochę przykro, że ich trójka nie jest już tak nierozłączna jak wcześniej. Marsha bowiem podczas przerw zwykle spędzała czas ze swoim chłopakiem, a i w weekendy rzadko mogła się spotkać z przyjaciółkami. Pocieszał je tylko fakt, że mają siebie, i z lękiem myślały o tym, co będzie, gdy jedna z nich wreszcie znajdzie sobie chłopaka. Z drugiej strony, żadna nie ukrywała przed drugą, że chciałyby spotkać tego jedyne.

Brianna właśnie się rozmarzyła, kiedy Megan ścisnęła ją za ramię.

- Czy to nie Ryan MacKenzie? - spytała szeptem.

Brianna podążyła za wzrokiem przyjaciółki.

- Tak, to Ryan - odparła, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Nie do wiary, że tak się można zmienić w ciągu półtora miesiąca.

- Nie wygląda wprawdzie jeszcze jak Zac Efron, ale musisz przyznać, że

wyprzystojniał - powiedziała Megan, gdy wchodziły do szkoły.

Dotychczas, rozmawiając o chłopakach, którzy im się podobali, jakoś żadna z nich nie wymieniała Ryana, choć obie go bardzo lubiły. Był miły i inteligentny, ale dość znaczna nadwaga sprawiała, że nigdy nie trafiał na ich niespisane listy. Nie miały pojęcia, czy w czasie wakacji stosował dietę, czy po prostu wkroczył w ten wiek, w którym niektórzy chłopcy z misiowatych grubasków zmieniają się w przystojniaków.

Ryan wprawdzie nie miał jeszcze takiej sylwetki jak zawodnicy szkolnej drużyny bejsbolu, ale sądząc po tym, jak Brianna i Megan patrzyły na niego, gdy szedł przed nimi korytarzem, można było przypuszczać, że wkrótce trafi na ich „listę”.



Jak zawsze pierwszego dnia nowego roku szkolnego, na lekcjach panował luz. Większość nauczycieli zdawała sobie sprawę, że po sześciu tygodniach wolności trudno zmusić podopiecznych do dyscypliny, i nawet się specjalnie nie starali, żeby ich okiełznać.

Tylko na ostatniej lekcji młody nauczyciel, który wyglądem nie różnił się od najstarszych uczniów i prawdopodobnie przyszedł do ich szkoły prosto po studiach, zapomniał, jak to było, gdy miał tyle lat co oni, i konsekwentnie próbował ich dyscyplinować. Kiedy oznajmił, że będą pracować w parach, zrobiło się zamieszanie. W sali biologicznej, w której mieli teraz ekologię, nie było bowiem dwuosobowych ławek. Uczniowie siedzieli przy dwóch długich stołach, trzeba więc było ustalić, kto z kim pędzie pracował, co okazało się dość trudne. Rozległy się głośne rozmowy.

- Brianno, mogę z tobą?! - zawołała Sarah z końca drugiego stołu.

- Ja z Marshą! - odparła Brianna, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć innych.

Sarah zaczęła więc pośpiesznie szukać sobie kogoś innego do pary. Podobnie robili pozostali.

Młody nauczyciel kilkakrotnie próbował przywołać ich do porządku; w końcu, poirytowany, wziął listę obecności i zaczął głośno odczytywać nazwiska.

- Abbott, Ackermann, pracujecie razem. Patricia Abbott spojrzała na Phila Ackermanna i jęknęła. Trudno się jej było dziwić. Phil był wyjątkowym gburem i pewnie nikt nie byłby zachwycony, gdyby musiał być z nim w parze.

- Tylko nie z Ethanem! - zawołała Sarah, zanim nauczyciel zdążył przeczytać kolejne dwa nazwiska.

- Baffin i Bailly, wy również.

Ethan Bailly był sympatycznym chłopakiem, zabawnym i na tyle zwariowanym, że był wspaniałym towarzyszem na szkolnej wycieczce czy na imprezie, ale na pewno nie przy pracy.

Brianna szybko rozejrzała się po klasie, szukając kogoś, kto mógłby być na liście między nią a Vicky. Nie zauważyła nikogo z nazwiskiem rozpoczynającym się na „Mac”. Tego się obawiała, bo na wszystkich zajęciach, na które chodziły razem, jej nazwisko, O'Higgins, zawsze widniało pod nazwiskiem Vicky O'Donnell. Jedyne, na co mogła teraz liczyć, to że Vicky trafi do pary z kimś znajdującym się na liście przed nią, a ona będzie na biologii pracować z prymuską Donną Palmer.

- Wiesz, z kim będę w parze? - spytała Megan, nachylając się do ucha przyjaciółki.

- Z kim?

- Z Ryanem MacKenziem.

- Rzeczywiście - powiedziała Brianna, błędząc wzrokiem po twarzach koleżanek i kolegów. - No, chyba że będziesz miała pecha i trafi ci się Alex Mallory.

- Tylko nie to - rzuciła Megan z przerażeniem w oczach. Podobnie jak przyjaciółka, uważała, że Alex powinien uczęszczać do szkoły dla debili... nie do szkoły dla opóźnionych w rozwoju, bo to byłoby dla nich obraza.

Odetchnęła z ulgą, gdy po chwili nauczyciel przeczytał:

- MacKenzie i MacLennon.

Klasa wybuchnęła śmiechem, kiedy padły dwa kolejne nazwiska:

- Mallory i Mitchell.

Peter Mitchell był wprawdzie zdolny, ale miał opinię lenia.

- Debil z leserem, niezła para - szepnęła Megan.

Była wyraźnie w dobrym humorze, w przeciwieństwie do Brianny, której nazwisko miało paść już niedługo i której obliczenia wskazywały, że będzie pracować z Vicky.

- O'Donnell i O'Higgins.

Vicky O'Donnell i Brianna O'Higgins, siedzące na dwóch końcach tego samego stołu, uśmiechnęły się do siebie, ale żadna z nich nie miała wątpliwości, że ta druga nie jest zachwycona takim obrotem sprawy.

Zresztą poza kilkoma wyjątkami nikt nie był zachwycony i nowy nauczyciel pewnie wolałby nie słyszeć tego, co między sobą mówili o nim uczniowie, kiedy po dzwonku wychodzili na korytarz.

Ta lekcja nie była miłym zwieńczeniem przyjemnego dnia w szkole, więc Brianna, która w sytuacjach krytycznych zwykle pocieszała się, że zawsze może być gorzej, tym razem zrobiła to samo. Wyobraziła sobie, że musiałyby pracować nad czymś z Aleksem Mallorym, i od razu poczuła się lepiej.

Wróciła ze szkoły w dobrym humorze. Dom wydawał się pusty. Rodzice byli jeszcze w pracy, a prababci nie zastała ani w salonie, ani w jej pokoju. Na dworze padało, więc w ogrodzie też raczej jej nie było.

Domyśliła się, że znajdzie ją w przybudówce. Kiedyś mama zamierzała urządzić tam zimowy ogród, ale zabrakło jej do tego zarówno czasu, jak i zapału, i pomieszczenie było niezagospodarowane; ale gdy przed tygodniem rozpętała się burza i Brianna z Lilly musiały szybko uciekać z gipsem, farbami i schnącymi aniołami z ogrodu do domu, dziewczyna wymyśliła, żeby pomieszczenie w przybudówce zamienić na pracownię. Lilly spodobał się ten pomysł i tak zrobiły.

Brianna odłożyła plecak i ruszyła w stronę nowego atelier. Dochodzące z niego dźwięki muzyki klasycznej upewniły ją, że zastanie tam prababcię. Kiedy przed kilkoma dniami Lilly stwierdziła, że przy pracy brakuje jej muzyki, Brianna zaproponowała, że pójdzie do swojego pokoju po przenośny odtwarzacz. Lilly jednak skrzywiła się.

- Mówią, że jakość dźwięku w nowoczesnych sprzętach jest na wyższym poziomie niż na tych sprzed kilkudziesięciu lat - powiedziała. - To pewnie prawda, ja jednak wolę słuchać Mozarta z moich płyt puszcanych na gramofonie.

Brianna niedawno znalazła na strychu magnetofon i pudło z taśmami ojca. O dziwo, magnetofon działał, postanowiła więc sprawdzić, czego tata słuchał za młodu. Dźwięk był koszmarny, więc spodziewała się, że sprzęt należący do generacji jeszcze starszej niż magnetofon w ogóle nie nadaje się do odtwarzania muzyki. Postanowiła jednak nie dyskutować o tym z Lilly i przeniosła gramofon oraz całą kolekcję płyt z jej pokoju do pracowni.

Gdy prababcia puściła pierwszą płytę, dziewczyna ze zdumieniem stwierdziła, że jakość dźwięku wcale nie jest zła, a jego barwa miała w sobie coś takiego, że zaczęła rozumieć przywiązanie Lilly do tego rodzaju odtwarzania muzyki.

Zatrzymała się przed drzwiami pracowni. Wcześniej nie pasjonowała się muzyką klasyczną i tego dnia, gdy przeniosła tu gramofon, przyznała się Lilly, że prawdopodobnie nigdy nie będzie potrafiła odróżnić Mozarta od Beethovena czy Bacha.

Ale już po kilku dniach, wprawiając w zdumienie prababcię i siebie, rozpoznała kompozytorów i utwory - nie tylko tak powszechnie znane jak *Dla Elizy* Beethovena.

Teraz stała pod drzwiami, wsłuchując się w muzykę z nadzieją, że ją rozpozna i znów

zaskoczy babcię. Była pewna, że już ją słyszała, i jeśli się postara, przypomni sobie przynajmniej kompozytora. Utwór się skończył, a ona wciąż stała, wyęzając pamięć i dziwiąc się, że Lilly tak długo nie zmienia płyty. W końcu uznała, że prababcia nie może tego zrobić, ponieważ w tym momencie ma ręce zajęte czymś, czego akurat nie da się odłożyć. Weszła więc szybko do pracowni.

Lilly jednak nie była niczym zajęta. Zasnęła na krześle i nie słyszała, że płyta się skończyła. Obudziło ją dopiero skrzypienie nienaoliwionych zawiasów drzwi.

Uniosła głowę, poruszyła nią, żeby otrząsnąć się ze snu, i uśmiechnęła się.

- A, to ty, Lindo?

Brianna, przyzwyczajona, że Lilly myli imiona jej i mamy, zastanawiała się, czy ją poprawić. Ale zanim się zdecydowała, starsza pani powiedziała coś, co wprowadziło ją w osłupienie:

- Wcześniej dzisiaj wróciłaś ze szpitala.

Te słowa musiały być skierowane nie do Brianny, tylko do jej mamy, która pracowała w szpitalu. Lilly najwyraźniej miała kłopoty nie tylko z pamięcią, ale i ze wzrokiem.

- Cześć, babciu Lilly - odezwała się dziewczyna na tyle głośno, żeby staruszka nie miała problemów z odróżnieniem głosu, choć głucha z całą pewnością nie była. Podeszła do niej i cmoknęła ją w policzek. Z tej odległości Lilly musiała już ją rozpoznać.

Nic na twarzy prababci nie wskazywało na to, że odkryła swoją pomyłkę.

- Cześć, kochanie - odpowiedziała. - Przez ten deszcz dzień jest taki senny, że zdrzemnęłam się na siedząco. Miałaś dzisiaj dużo pracy?

Skonsternowana dziewczyna nie wiedziała, co o tym myśleć. Czyżby Lilly wciąż się wydawało, że stoi przed nią jej wnuczka Linda?

- Nie - odparła, przyglądając jej się uważnie. - Pierwszego dnia po wakacjach w szkole nigdy nie ma dużo pracy.

- W szkole...? - Lilly przyglądała się prawnuczce, a kiedy uświadomiła sobie pomyłkę, w jej lekko zamglonych oczach pojawiło się przerażenie.

- To ja, Brianna - powiedziała łagodnym głosem dziewczyna i ujęła jej dłoń.

- Jak mogłam cię wziąć za Lindę? - Lilly z niedowierzaniem kręciła głową. - Jak to możliwe?

- Musiałaś mocno zasnąć i pewnie chwilę trwało, zanim się całkiem obudziłaś - powiedziała dziewczyna, a widząc, że to wyjaśnienie nie przekonało prababci, dodała: - Mnie też się czasem zdarza, że budzę się i nie wiem, gdzie jestem. Ty nie wiedziałaś, kto wszedł do pokoju, i tyle. Nie ma się czym przejmować.

Starła się mówić to wszystko lekkim tonem, ale wcale nie było jej lekko. Z Lilly działo się coś niepokojącego i postanowiła porozmawiać o tym z mamą. Na razie jednak musiała coś zrobić, żeby rozweselić staruszkę. Z pomocą przyszła jej pamięć. Nagle przypomniała sobie tytuł i kompozytora utworu, którego przed chwilą nie mogła rozpoznać.

- Preludia Chopina. Płyta się skończyła, zanim weszłam do pracowni. Puszczę ją jeszcze raz, dobrze?

Oczy Lilly nieco się rozjaśniły.



Tego dnia mama późno wróciła z pracy, a potem jedli kolację z Lilly i wspólnie oglądali telewizję, Brianna nie miała więc okazji, żeby porozmawiać z matką sam na sam.

Lilly była tego wieczoru w dobrej formie; ani razu nie pomyliła imion wnuczki i prawnuczki, nie powtarzała tych samych pytań, a jej trafne komentarze do programów, które oglądali, świadczyły o tym, że umysł staruszki funkcjonuje bez zarzutu.

Podobnie było następnego dnia. Kiedy Brianna wróciła ze szkoły, rozpromieniona Lilly spytała, czy nie pojechałaby z nią do miasta. Kilka godzin wcześniej zadzwoniła do niej właścicielka galerii z informacją, że wszystkie anioły, które zostawiły poprzednim razem, zostały sprzedane, i z prośbą o jak najszybsze dostarczenie nowej partii.

- Fantastycznie! - zawołała Brianna. - Interes nam się rozkręca.

Dotrzymała obietnicy złożonej prababci w butik, w którym kupiły długą sukienkę, i pomagała jej, jak tylko mogła. Mieszała gips, wypełniała formy, myła pędzle, a nawet pokrywała farbą takie fragmenty aniołów, których malowanie nie wymagało specjalnego kunsztu.

Mówiąc „nam”, nie miała poczucia, że przypisuje sobie zasługi prababci. Ale kiedy w galerii Lilly poprosiła właścicielkę, żeby zamiast jednego czeku na dwieście czterdzieści dolarów wystawiła dwa, każdy na sto dwadzieścia, dziewczyna zaprotestowała. Uznała, że nawet jeśli pomagając jej, zarobiła jakieś pieniądze, to na pewno podział pół na pół nie byłby sprawiedliwy, tym bardziej że to Lilly płaciła za gips, farby i inne materiały.

Starsza pani uparła się jednak i Brianna wyszła z butik z czekiem.

- W takim razie dzisiaj ja zaproszę ciebie do restauracji - powiedziała. - Na lancz już jest wprawdzie za późno, ale możemy zjeść wcześniejszą kolację. W pobliżu jest japońska restauracja. Lubisz sushi?

- Hm... - Lilly zawahała się.

- Możemy iść do hinduskiej. Również jest niedaleko. Albo jeśli wolisz, pójdziemy do tej francuskiej, w której byliśmy poprzednim razem - zaproponowała Brianna, choć ten ostatni pomysł nie bardzo jej się podobał, pamiętała bowiem, ile prababcia wtedy zapłaciła.

- Chodźmy do japońskiej - zdecydowała Lilly.

- Ale może nie lubisz sushi?

- Z sushi jest tak jak z większością potraw, może być pyszne i może być wstrętne. Ja kilka razy się nacięłam i stąd moje początkowe wahanie.

- Byłam w tej restauracji kilka razy z rodzicami zgodnie uznaliśmy, że dają tam najlepsze sushi w mieście.

- Więc idziemy do niej - powiedziała Lilly, wsunęła rękę pod ramię prawnuczki i pomagając sobie laską, dała się poprowadzić do japońskiej restauracji.

Piąta jest nietypową godziną na spożywanie **posiłków** - za późno na lunch, za wcześnie na kolację - więc lokal był dość pusty. Kiedy weszły do środka, przy przesuwającym się po linii elipsy taśmociągu siedziało tylko kilka osób: młoda para Azjatów i pięcioosobowa rodzina.

- Zwykle jest tu tłoczniej, w weekendy trzeba nawet czekać, aż zwolnią się miejsca - oznajmiła Brianna, nie chcąc, by prababcia wyciągnęła pochopne wnioski i uznała, że mała liczba klientowi wynika z marnej jakości potraw.

- Kiedyś byłam zdania, że dobre restauracje to te, w których jest mnóstwo ludzi, ale dziś już tak nie uważam - powiedziała Lilly. - To, co powiem, będzie mało demokratyczne, ale im jestem starsza, tym bardziej jestem przekonana, że jeśli chodzi o gusty, ogół nie zawsze ma rację.

- Pewnie coś w tym jest - przyznała dziewczyna. - Ale ta zasada na pewno nie dotyczy twoich aniołów.

- Naszych aniołów - poprawiła ją Lilly.

- No dobrze, niech będzie naszych - zgodziła się Brianna i gwałtownie odsunęła się od taśmociągu, ponieważ tuż przed jej nosem wystrzeliła czyjaś ręka.

To chłopak, siedzący jakieś dwa metry od niej po prawej, zerwał się z krzesła i próbował zdjąć z taśmociągu coś, co z pewnością nie było sushi.

- Przepraszam - powiedział, widząc, że przestraszył Briannę. - Odjechał mi iPod.

Brianna spojrzała na taśmociąg, na którym oddalał się czarny iPod, spoczywający między porcjami sushi.

- Spadł mi na taśmę - wyjaśnił chłopak. - Przepraszam, że ci przeszkodziłem.

- Nic się nie stało. Będziesz musiał poczekać, aż do ciebie wróci.

Skinął głową i się uśmiechnął.

- Mam tylko nadzieję, że oni - dyskretnie wskazał głową na parę siedzącą naprzeciwko - nie wezmą go za sushi.

- Sprawiają wrażenie ludzi, którzy wiedzą, jak wygląda sushi - odparła i odpowiedziała mu uśmiechem.

Chłopak wrócił na swoje miejsce i Brianna przez jakiś czas obserwowała wraz z nim ruch taśmociągu. Kiedy na twarzach pary Azjatów odmalowało się zdziwienie, domyśliła się,

że iPod właśnie przejeżdża przed nimi. Po chwili jedna z dziewczynek, prawdopodobnie siostra chłopaka, wyciągnęła rękę.

- Mam! - zawołała triumfalnie, po czym oddała bratu iPoda.

Chłopak dał dziewczynce całusa, po czym odwrócił się do Brianny i ponownie się do niej uśmiechnął.

W jego uśmiechu było coś takiego, że prawdopodobnie, gdyby akurat nie siedziała, zmiękłyby jej nogi. Nie przyglądała mu się długo, ale zanim odwróciła wzrok, zauważyła, jaki jest przystojny. Opalony blondyn z naturalnymi jaśniejszymi pasemkami. Nie przepadała za taką stereotypową urodą, ale w tym chłopaku było coś, co sprawiło, że różnił się od innych przystojnych, opalonych blondynów.

Co jakiś czas zerknęła dyskretnie w prawo, żeby się dowiedzieć, co to takiego, ale za którymś razem natrafiła na jego spojrzenie i potem bardzo się pilnowała, żeby jej wzrok nie powędrował w tamtą stronę.

Popatrzyła dopiero wtedy, gdy on i jego rodzina zaczęli się zbierać do wyjścia.

Chłopak jeszcze raz uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Cześć.

Gdy wychodzili, nie mogła się powstrzymać przed spojrzeniem w jego kierunku. Zanim zniknął za drzwiami, pomachał ręką do Brianny.

- I jak? - Speszona dziewczyna zwróciła się do prababci.

- Miły chłopak.

- Nie pytałam o niego, pytałam o sushi.

- Sushi wyśmienite. Najlepsze, jakie dotąd jadłam. Ale chłopak też niczego sobie. I bardzo ci się przyglądał.

- Nie mogłaś tego widzieć. - Brianna roześmiała się. - Siedziałaś do niego bokiem.

- Kochana, w moim wieku widzi się nie tylko oczami. A poza tym kilka razy, kiedy odwracałam się do ciebie, widziałam, że zerka w twoją stronę. - Lilly uśmiechnęła się. - Twoje spojrzenia też zauważyłam.

~ Rzeczywiście musisz widzieć nie tylko oczami.

Brianna popatrzyła na przesuwające się na taśmociągu sushi, udając, że się zastanawia, które wybrać, ale myślami była przy nieznanym chłopaku. Pochlebiało jej to, co usłyszała od Lilly, ale im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była pewna, że nie mogła mu się spodobać. Miała prawie siedemnaście lat, ale ci, którzy widzieli ją po raz pierwszy, nie dawali jej więcej niż czternaście. W żaden sposób nie potrafiła tego zmienić - ani stylem ubierania się, ani fryzurą czy makijażem. Kiedy miała makijaż, wyglądała jeszcze

dziecinniej, jak dziewczynka, która na siłę chce uchodzić za dorosłą.

Nie, cokolwiek mówiłaby Lilly, ten chłopak, siedemnasto - , osiemnasto - , a może nawet dziewiętnastoletni, nie mógł w niej widzieć swojej rówieśnicy. Jeśli rzeczywiście jej się przyglądał, to może dlatego, że widział w niej dziecko niewiele starsze od jego sióstr, do których - jak zdążyła zauważyć - miał bardzo ciepły stosunek.

A zresztą nawet gdyby było inaczej, nic z tego nie wynikało. Spotkali się przypadkiem, zamienili parę słów i nigdy więcej się nie zobaczyli.

To właśnie powiedziała prababci, kiedy ta nadal upierała się, że chłopak był nią wyraźnie zainteresowany.

- Może masz rację - zgodziła się z nią Lilly.

Zamyśliła się, przez chwilę była jakby nieobecna, po czym opowiedziała historię swoją i swojego męża, pradziadka Brianny.

Poznali się przed drugą wojną światową, na obozie skautów, dwa dni przed jego zakończeniem.

Dwudniowa miłość nastolatków skończyła się tak jak większość takich miłości. Stracili ze sobą kontakt na kilkanaście lat, a po wojnie spotkali się przypadkiem w zupełnie innym miejscu i zakochali w sobie nawzajem, nie wiedząc, że ona to ona, a on to on. Dopiero po jakimś czasie, kiedy już byli małżeństwem, dziadek opowiedział jej o swojej pierwszej miłości, a ona, przeczuciwszy kilka pudeł ze starymi rzeczami, znalazła mały tomik poezji. Mak kalifornijski, który dostała od swojego pierwszego i - jak się okazało - ostatniego ukochanego, stracił kolor i kruszył się, ale wciąż był między kartkami książki.

Brianna długo kręciła głową, kiedy usłyszała historię miłości swoich pradziadków.

- Niesamowite - rzuciła. - Wydawało mi się, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach, i to wyłącznie w tych starych.

- W życiu wszystko się może zdarzyć - powiedziała Lilly. - I dlatego jest takie piękne.

Przez kilka następnych dni Brianna znów nie miała okazji porozmawiać z mamą o kłopotach z pa mięcia prababci. Wcale się tym jednak nie przejmowała, bo wszystko wskazywało na to, że były one tylko przejściowe. Lilly wprawdzie kilka razy pomyliła imiona, raz czy dwa powtórzyła to samo pytanie, ale poza tym nie zdarzyło się nic, co zaniepokoiłoby Briannę tak, jak incydent w pracowni, kiedy Lilly jej nie poznała. A drobne pomyłki ludziom osiemdziesięcioośmioletnim mogą się przecież zdarzać.

Jednak pewnego dnia przeraziła się nie na żarty. Jadła z babcią śniadanie. Mama odsypiała nocny dyżur, a tata wyszedł już do pracy.

- Pan Krokodyl chyba jest głodny - powiedziała Lilly.

- Krokodyl...?

- Tak. Skrobał dzisiaj w nocy pazurami w akwarium.

- Ach, mówisz o Panu Żółtciu? - Brianna roześmiała się, sądząc, że babcia żartowała.

- Żółt...? - Lilly miała zupełnie poważną minę. - Żółt...? - powtórzyła to słowo tak, jakby wypowiadała je po raz pierwszy w życiu.

- Babciu Lilly. - Brianna przyjrzała jej się uważnie. - Mówisz poważnie czy żartujesz?

- Nie rozumiem...

Oczy Lilly były lekko zamglone i Brianna znów dostrzegła w nich lęk podobny do tego, jaki widziała wtedy w pracowni.

- Żółt... - powtórzyła Lilly.

- To zwierzę, które pływa w akwarium, to żółt - powiedziała cicho Brianna. - Krokodyl to...

- Tak, tak, oczywiście, że żółt.

- Babciu Lilly... - Dziewczyna zerwała się z krzesła, widząc coraz większy popłoch w oczach staruszki - - Nic takiego się nie stało - powiedziała, kucając przy niej. - Pomyliłaś żółcia z krokodylem. To nawet zabawne. - Uśmiechnęła się, próbując obrócić wszystko w żart.

- To chyba nie jest zabawne - odparła Lilly przygnębionym głosem. Pokręciła wolno głową i dodała: - To wcale nie jest zabawne.

Brianna wiedziała, że prababcia ma rację. Nie mogła dłużej zostać z nią w kuchni, bo za sześć minut powinna być na przystanku. Nie miała pojęcia, co zrobić, żeby ją pocieszyć. Pocałowała ją w policzek, pogłaskała po siwych włosach i poprosiła, że by się tak nie

przejmowała.

Staruszka skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu, ale Brianna widziała, jak jest jej ciężko.

Nie mogła już dłużej odwlekać rozmowy z mamą, która spędzała z Lilly znacznie mniej czasu niż ona i pewnie nie wiedziała o kłopotach swojej babci.



Po powrocie ze szkoły ucieszyła się, widząc przed domem samochód matki. Wiedziała, że po nocnym dyżurze mama nigdy nie pracuje, obawiała się jednak, że mogła wybrać się do miasta. Kiedy weszła do domu, ucieszyła się, słysząc jej głos dochodzący z salonu. Po chwili jednak zmartwiła się. To, że mama coś mówiła, oznaczało, że nie jest sama, a że tata o tej porze nie mógł jeszcze wrócić z pracy, więc pewnie rozmawiała z Lilly.

Brianna zajrzała do salonu i odetchnęła z ulgą. Matka rozmawiała z kimś przez telefon. Dziewczyna postanowiła poczekać, aż mama odłoży słuchawkę. Stała w progu, uśmiechnęła się do manty i pomachała jej ręką. Matka nie odpowiedziała jej uśmiechem, dawała tylko jakieś znaki, których córka nie potrafiła zinterpretować. Domyśliła się jednak, że mama nie prowadzi pogawędki z jedną ze swoich przyjaciółek, lecz rozmawia z kimś na jakiś bardzo poważny temat i nie chce, by jej przeszkadzano.

Postanowiła pójść na górę do swojego pokoju przebrać się i wrócić na dół, ale kiedy ruszyła w stronę schodów, usłyszała coś, co zatrzymało ją w miejscu. Wyteżyła słuch, starając się nie stracić nic z tego, co mówiła matka.

- Tak, Martho... Właśnie... Tak, często myli imiona, do mnie zwraca się Brianno, do mojej córki Lindo. Ale to mnie tak bardzo nie zaniepokoiło, dopóki nie przydarzyła się ta historia, o której ci opowiadałam.

Mama zamilkła. Pewnie teraz mówiła jej rozmówi czyni. Córka zrobiła w myślach przegląd wszystkich jej przyjaciółek i znajomych, ale nie mogła sobie przypomnieć żadnej Marthy. Po chwili przestała sobie tym zawracać głowę. Mama zauważyła, że Lilly traci pamięć, i to było najważniejsze.

- Bardzo dziękuję, Martho - odezwała się znów matka. - Tak, zadzwonię, kiedy tylko będę wiedziała coś więcej. Oczywiście, że pozdrowię ją od ciebie. Chociaż... Pewnie się zdziwi, że do ciebie dzwoniłam. Bo zwykle jej umysł pracuje tak samo sprawnie jak dawniej. Jeśli się domyśli, że skontaktowałam się z tobą, żeby porozmawiać o jej kłopotach z pamięcią, może wpaść w przygnębienie.

Brianna, zorientowawszy się, że matka rozmawia z kimś, kto zna prababcię, przypomniała sobie, że kobieta, która przejęła galerię Lilly, wnuczka jej przyjaciółki, nazywa się Martha Sellers. Musiało się zdarzyć coś, co zaniepokoiło mamę na tyle, że postanowiła do niej zadzwonić.

- Tak, oczywiście, że pójdziemy do lekarza - mówiła dalej mama. - Zamówiłam już na

jutro wizytę. Pomyślałam jednak, że warto wcześniej ustalić, czy takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Nie widziałam babci od pogrzebu dziadka. Rozmawiałam z nią wprawdzie niemal codziennie przez telefon, ale poza tym, że czasami powtarzała dwa, trzy razy tę samą historię, co ludziom w jej wieku ma prawo się zdarzać, nic mnie nie zaniepokoiło. Pomyślałam więc, że zapytam ciebie.

W salonie na chwilę znów zapadła cisza.

- Zadzwoń na pewno. Do usłyszenia, Martho. Mama odłożyła słuchawkę i westchnęła tak ciężko, że córka usłyszała to w przedpokoju.

Brianna wróciła do salonu i zobaczyła ją stojącą z opuszczonymi ramionami.

- Dzwoniłam do... - zaczęła, zauważywszy córkę.

- Wiem, do kogo, i wiem dlaczego.

- Słyszałaś, co mówiłam do Marthy? Dziewczyna skinęła głową.

- Chciałam o tym z tobą porozmawiać. - Głos matki był przygnębiony.

- Ja też - rzekła Brianna, po czym opowiedziała jej historię sprzed kilku dni i tę z dzisiejszego poranka.

- Dlaczego nie przyszedłaś do mnie z tym wcześniej?

- Po tym, jak nie poznała mnie w pracowni, nie chciałam okazji porozmawiać z tobą sam na sam a później była w bardzo dobrej formie i nie chciałam się martwić. Mama ze zrozumieniem skinęła głową.

- Ale ta dzisiejsza historia z krokodylem przeraziła mnie i postanowiłam ci o wszystkim powiedzieć.

- No tak... Ja też o tym nie mówiłam, bo... - Na czole mamy pojawiły się dwie głębokie zmarszczki.

- Bo też nie chciałaś mnie martwić - podpowiedziała córka, ale ona pokręciła głową.

- Nie, bo idiotycznie sądziłam, że jeśli się o czymś nie mówi, to tego czegoś nie ma.

- A co takiego się stało, że zadzwoniłaś do Marthy?

- Nie wiem, co mnie obudziło, może trzask drzwi, może Lilly coś powiedziała albo mną potrząsnęła, a może po prostu poczułam jej spojrzenie.

Stała nade mną i przyglądała mi się jakoś tak dziwnie.

- Zamglonymi oczami - podpowiedziała Brianna.

- Właśnie. Zapytałam: „Co ty tu robisz, Lilly?”

A ona na to: „Co ty tu robisz, Kathy? Kiedy przyjechałaś z Denver?”

- Kathy...?

- Tak miała na imię siostra Lilly, która zmarła, kiedy byłam małym dzieckiem.

- Wzięła cię za swoją siostrę? - Brianna mówiła prawie szeptem. Nie wiedziała, czy prababcia jest teraz w jej dawnym pokoju, w pracowni czy w ogrodzie, ale na wszelki wypadek zniżyła głos. - Czy jej siostra mieszkała w Denver?

Matka skinęła głową.

- To nie wszystko - dodała po chwili równie cicho jak córka. - Potem zapytała, gdzie jest Tom.

Brianna natychmiast domyśliła się, o jakiego Toma chodzi. Nie pamiętała, jak miał na imię jej pradziadek, dopóki kilka dni temu w japońskiej restauracji Lilly nie opowiedziała jej historii o przypadkowym spotkaniu po latach z jej młodzieńczą miłością.

- To straszne - szepnęła, ale widząc łzy w oczach mamy, pożałowała, że to powiedziała. - Nie martw się, może to nie jest...

Głupia, głupia, głupia, zbesztła się w duchu. Może mama wcale o tym nie pomyślała. Ale mama pomyślała.

- Może to nie jest alzheimer - dokończyła za córkę.

- Mamo, proszę cię, nie martw się tak. - Brianna objęła ją i w swojej nieskończonej głupocie, której potem długo się wstydziła, dodała: - Przecież Lilly nawet nie jest twoją matką. To tylko babcia.

- Nigdy więcej tak nie mów. - Po wcześniejszych szeptach nieco podniesiony głos matki zabrzmiał w salonie jak krzyk. - Lilly była dla mnie więcej niż matką - powiedziała nieco ciszej. - Zastępowała mi matkę i ojca, którzy tak się przejęli biednymi i uciskanymi, że w swoim zapale do ratowania świata zapomnieli, że mają czteroletnią córkę, i troszczyli się w Chile o sieroty, których rodzice zniknęli bez śladu po objęciu władzy przez Pinocheta. Ja wiem, to było z ich strony bardzo szlachetne, ale nic nie poradzę, że nie rozumiem, jak mogli nie pomyśleć o tym, że kiedy sami znikną w podobny sposób, ich mała córka też zostanie sierotą. - Mama przerwała na chwilę, żeby złapać oddech. - Miałam w tym wszystkim dużo szczęścia. Lilly nie pozwoliła na to, żebym poczuła się sierotą, więc, proszę cię, nigdy więcej nie mów...! - Teraz jej głos już był krzykiem.

- Mamo, uspokój się. Przepraszam, że to powiedziałam. Wcale tak nie myślałam.

Ale pomyślała. I nie tylko o tym. Tej drugiej myśli wstydziła się jeszcze bardziej. Tak bardzo, że próbowała sobie wmówić, że wcale nie przyszła jej do głowy.

Dzwonek telefonu rozdarł ciszę, jaka zapanowała w salonie. Odebrała mama, która była bliżej aparatu.

- To do ciebie - powiedziała, przekazując go córce.

- Halo - powiedziała Brianna do słuchawki, a kiedy rozpoznała głos, miała ochotę ją

odłożyć, bo to właśnie Vicky przypisywała winę za myśl, która przed chwilą zaświtała jej w głowie.

To ona powiedziała kiedyś, że starszych ludzi powinno się oddawać do domów opieki.

- Wyobraź sobie, że Russell... - zaczęła Vicky triumfującym głosem.

- Russell...?

- No, mój nowy sąsiad. To ciacho, o którym ci mówiłam...

- Vicky, nie mogę teraz z tobą rozmawiać - przerwała jej Brianna bezpardonowo. -

Jestem zajęta.

- Ale przecież ustaliłyśmy, że się dzwoniemy, żeby się umówić.

Brianna nie mogła pozbierać myśli.

- Mamy na pojutrze przygotować wstępny szkic projektu z ekologii - przypomniała jej Vicky.

Brianna dzisiaj podczas lunchu próbowała ją przekonać, że zrobi to sama. Wiedziała, że cała praca i tak spadnie na nią, wołała więc, żeby roztrzępana koleżanka przynajmniej jej nie przeszkadzała.

Niestety, Vicky, chcąc sobie potem przypisać zasługi, uparła się, że muszą się tym zająć razem.

- Zrobimy to jutro po lekcjach - rzuciła Brianna.

- Mówiłam ci, że jutro nie będzie mnie w szkole. Vicky tłumaczyła, dlaczego jej nie będzie, ale Brianna nie mogła sobie teraz tego przypomnieć.

- Przyjdę do ciebie koło piątej - oświadczyła pośpiesznie.

Ta dziewczyna tak ją ostatnio irytowała, że Brianna nie chciała znaleźć się w sytuacji, w której będzie musiała wymyślać preteksty, żeby pozbyć się jej z domu. Jeśli pójdzie do niej i w pewnym momencie stwierdzi, że ma jej dość, po prostu wyjdzie.

- Ale nie dałaś opowiedzieć mi o Russellu... Teraz Brianna nie miała już wątpliwości, że Vicky dzwoni nie z powodu projektu z ekologii, tylko dlatego, że chce się pochwalić postępami w zdobywaniu swojego ciacha.

- Będę o piątej - rzuciła do słuchawki i szybko ją odłożyła.

Brianna wysiadła z autobusu dwa przystanki wcześniej niż zwykle - na rogu ulicy, przy której mieszkała Vicky.

Gdy rano wychodziła z domu, zanosilo się na ciepły wczesno jesienny dzień, ale - jak to często bywa w Nowej Anglii - wrześniowi zebralo się na kaprysy. Koło południa niebo się zachmurzyło, kiedy przed szkołą wsiadała do autobusu, kropiło, a teraz zerwał się wiatr i atakujące ją z góry strugi były tak agresywne, że ledwie otwierała oczy, by odczytać numery domów, obok których przechodziła. Lekka kurtka nie chroniła ani przed dotkliwym chłodem, ani przed deszczem.

Wszystko to sprawiło, że była zła. Dlaczego uległam Vicky i zgodziłam się na to spotkanie? - wyrzucała sobie. W dodatku nie wzięła z domu komórki i nie mogła zadzwonić do mamy, która na pewno wróciła już z Lilly od lekarza, by dowiedzieć się, czy postawił diagnozę. Niepokój, że to może być alzheimer, doskwierał jej bardziej niż niewygody związane z pogodą, chociaż ta była tak okropna, że poza Brianną nikt nie był na tyle głupi, by wychodzić na dwór. Tylko przed domem, do którego właśnie się zbliżała, bawiły się jakieś dzieci.

Nawet jeśli nie cieszyło jej towarzystwo Vicky, to perspektywa znalezienia się w ciepłym i suchym miejscu była nęcąca, przyśpieszyła więc kroku. Idąc z opuszczoną głową, nie zauważyła, że w chwili, gdy mijała dom z numerem osiemnaście, ktoś z niego wyszedł.

- Wracajcie do domu!

Coś w usłyszonym głosie zwróciło jej uwagę. Zatrzymała się i spojrzała w stronę, z której dochodził. Na huśtawkach przed domem bawiły się dwie dziewczynki, którym najwyraźniej nie przeszkadzała ulewa, a na ganku stał chłopak. I one, i on wydali jej się znajomi.

- Sue i Lea, mama prosi, żebyście wracały do domu! - zawołał.

Nie widząc z ich strony żadnej reakcji, zszedł z ganku i ruszył w kierunku huśtawek. Kiedy był w połowie drogi, zobaczył dziewczynę stojącą przed parkanem.

Wtedy go rozpoznała. To był chłopak, którego niedawno widziała w japońskiej restauracji. Uznała, że musi dziwnie wyglądać, stojąc tak w deszczu, ruszyła więc przed siebie, ale zorientowawszy się, że nieznajomy minął huśtawki i podchodzi do parkanu, zatrzymała się.

- Cześć - powiedział. - Spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu w restauracji z sushi,

prawda?

- Ach, tak! Wydałeś mi się znajomy, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie cię widziałam - skłamała, nie chcąc, by pomyślał, że wywarł na niej takie wrażenie, że zapamiętała i jego, i okoliczności, w jakich się spotkali.

- Miły przypadek.

Choć z czoła Brianny skapywała woda, dostrzegła jego uśmiech.

- Ale co ty tu robisz w tym deszczu? - spytał.

- Idę do koleżanki.

- Sue i Lea, natychmiast wracajcie do domu! - zwrócił się do sióstr, które zeszyły z huśtawek i, zaciekawione, podeszły do parkanu.

Tym razem go posłuchały.

- Może cię podwieźć? - zaproponował Briannie. - I tak muszę jechać do miasta.

- Nie, dziękuję, ona mieszka w sąsiednim do - mu, pod dwudziestką. - Nagle zimno, deszcz i wiatr przestały jej przeszkadzać. Mogłaby tak stać i stać, rozmawiając z chłopakiem, którego nie znała. Tylko świadomość, że weźmie ją za idiotkę, zmusiła ją do tego, by powiedzieć: - No to cześć, muszę lecieć.

- Vicky jest twoją koleżanką? - spytał.

Dopiero teraz skojarzyła fakty. To był nowy sąsiad Vicky, ciacho, o którym opowiadała. Nagle odezwało się w niej coś, co się określa syndromem psa ogrodnika - sam nie zje, a drugiemu nie da. Nie chciała, żeby Vicky zjadła to ciacho. Nie, nie jego!

- Cześć - powtórzyła.

Obawiając się, że jeśli natychmiast nie odejdzie, chłopak odgadnie jej myśli, szybko ruszyła przed siebie.

- Cześć - powiedział, ale się nie odwróciła. - Miło było cię znowu zobaczyć! - zawołał, kiedy dochodziła już do furtki domu O'Donnellów.

- O Jezu, jak ty wyglądasz?! - zakrzyknęła ze zgrozą Vicky, kiedy otworzyła drzwi. - Jak kupka nieszczęścia.

Brianna pewnie nie przejęłaby się jej słowami, gdyby nie fakt, że tę kupkę nieszczęścia widział przed chwilą chłopak, który wywarł na niej takie wrażenie, jak żaden inny w jej życiu.

- Aż tak strasznie? - spytała.

- Spójrz tylko - poradziła Vicky, prowadząc ją do wielkiego lustra w złoconych ramach.

- O matko... - jęknęła Brianna na widok swojego odbicia.

Jej głos musiał brzmieć tak żałośnie, że nawet Vicky, której zdolności do empatii były mocno ograniczone, postanowiła ją pocieszyć.

- Nie martw się. Dam ci jakieś swoje ciuchy, a twoje włożę do suszarki i zanim wyjdiesz, będą suche.

Tak też zrobiła.

Tonąc w za długim i za obszernym dresie koleżanki, Brianna suszyła włosy, gdy Vicky poszła z jej ciuchami do pralni.

Nie wracała dość długo, a kiedy w końcu się po jawiła, zaskoczyła ją swoją uprzejmością.

- Zrobiłam ci herbatę, bo na pewno przemarzłaś - powiedziała, podając jej kubek, nad którym unosiła się para. - I przyniosłam ciastka. Ale może wolisz coś ciepłego?

- Nie, dzięki - odparła Brianna. - Jesteś kocha na - dodała, choć wcale jej się nie podobało, że właśnie teraz, kiedy miała ochotę ją znienawidzić, Vicky okazała się taka troskliwa.

Tylko za co właściwie miałyby ją nienawidzić? Vicky była roztrzepana, egocentryczna, czasami nieodpowiedzialna i irytująca, ale w gruncie rzeczy nie była to zła dziewczyna i nawet gdyby Brianna potrafiła żywić do kogokolwiek takie uczucie, to nie do niej.

Ale przecież Vicky zamierzała odebrać jej chłopaka, o którym od jakiegoś czasu Brianna nie mogła przestać myśleć.

Odebrać, też coś! - przemknęło jej przez głowę. Odebrać można komuś coś, co ten ktoś posiada. A zakładając, że w ogóle można sobie rościć prawa do jakiejś osoby, to Brianna

nie miała najmniejszych podstaw, by to czynić. Spotkała go przypadkiem dwa razy, zamienili kilka słów, i to wszystko. A że wyobraźnia podsuwała jej obrazy, na których ona i on stanowili pierwszy plan, to już zupełnie inna sprawa.

- Ogrzałaś się już i doszłaś do siebie na tyle, żeby się zabrać do pracy? - spytała Vicky.

Dlaczego akurat dzisiaj była taka miła? Brianna zdecydowanie wolałaby, żeby zachowywała się tak jak zwykle.

- Właściwie mam już przygotowany szkic projektu - powiedziała szorstko, sięgnęła do torby, wyjęła ze skoroszytu kartkę i podała ją koleżance.

- Myślałam, że zrobimy to razem. - W głosie Vicky było słychać rozczarowanie.

- Spójrz na to - zaproponowała Brianna. - Jeśli będziesz miała całkiem inną koncepcję albo zechcesz coś dodać, możemy się nad tym zastanowić.

Vicky w skupieniu przeczytała ujęty w kilkanaście punktów plan projektu.

- Hm... - mruknęła.

- Masz jakieś zastrzeżenia albo inne pomysły?

- Właściwie nie.

Brianna nie spodziewała się innej odpowiedzi.

- No to mamy plan gotowy - rzuciła.

- Tak po prostu? - Vicky zmarszczyła czoło, stając się wymyślić coś, co mogłaby wnieść do projektu, ale nic jej nie przyszło do głowy.

I bardzo dobrze, pomyślała Brianna złośliwie. Przynajmniej nie dam ci poczucia, że cokolwiek przy nim zrobiłaś. Kiedy postanowiła przyjść do niej z gotowym planem, nie wiedziała jeszcze, że sąsiad Vicky jest tym chłopakiem, który tak jej się spodobał w japońskiej restauracji, i nie miała powodu, by widzieć w niej konkurentkę. Po prostu zawsze pracowało jej się lepiej w ciszy i spokoju, a zdawała sobie sprawę, że przy Vicky o ciszę i spokój jest trudno.

- Więc co będziemy robić? - spytała koleżanka. Miała nadąsaną minę.

- Nic - odparła Brianna. - Spojrzała w stronę okna i zobaczyła, że przestało padać, a niebo się rozjaśniło. - Pójdę do domu, zanim znowu zaczniesz lać.

- Twoje ciuchy pewnie jeszcze nie wyschły. Brianna całkiem zapomniała, że ma na sobie jej przyduży dres. Pomyślała, że skoro wyszło słońce, jest szansa, że chłopak będzie w ogrodzie.

- Mogę włożyć wilgotne - zdecydowała.

- Co ty?! Posiedź jeszcze trochę. Opowiedz mi, co tam u ciebie słychać.

- Nic ciekawego - rzuciła lekko zniecierpliwiona Brianna, która oczami wyobraźni widziała go stojącego przed swoim domem, huśtającego siostry! albo podlewającego trawnik.

Co za głupi pomysł! Kto podlewa trawnik po ulewie?!

Ale mógł go, na przykład, strzyc.

Nie, mokrą trawę źle się strzyże.

Zaraz, przecież on miał imię. Vicky mówiła jakie. Brianna żałowała, że słuchała jej wtedy jednym uchem.

- A jak tam twój nowy sąsiad? Jak on ma na imię? - zapytała.

- Russell. - Nadąsaną mina zniknęła, oczy Vicky rozpromieniły się. - Wszystko jest na dobrej drodze.

Gdyby chodziło o innego chłopaka, Brianna uznałaby tę powściągliwą odpowiedź za znak, że koleżanka nie posunęła się ani trochę na drodze do swojego „ciacha”, i nie pytałaby dalej, ale lęk, że jej znajomość z Russellem może się posunąć za daleko, był zbyt silny, żeby nie dociekać.

- To znaczy?

- Jeszcze nie zaprosił mnie na randkę, ale czuję, że już niedługo to zrobi - odpowiedziała Vicky.

Wstała, podeszła do lustra i popatrzyła na swoje odbicie tak, jakby chciała powiedzieć: „Jaki chłopak nie miałby ochoty się ze mną umówić?”.

Pewnie znaleźliby się tacy, pomyślała Brianna, ale przyglądając się koleżance, stwierdziła, że - niestety! - jest atrakcyjna. Wysoka blondynka o dość banalnej wprawdzie, ale ładnej buzi, takiej, jakie podobają się większości chłopaków.

Może jemu akurat nie, pomyślała z nadzieją.

- Przynieś moje ciuchy z suszarki - poprosiła. O szyby uderzyły gałęzie drzewa. Podeszła do okna i zobaczyła, że z północy nadciąga ciemna chmura. - Jeśli się pośpieszę, zdążę dojść do domu, zanim zaczną padać.

- No, jak chcesz. - Vicky wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

Brianna, widząc, w jakim tempie chmura się zbliża, niecierpliwiła się, że koleżanki tak długo nie ma.

- Są już prawie suche - powiedziała Vicky, kiedy wreszcie wróciła i dała jej ubranie. - Ale to chyba nie jest dobry pomysł, żebyś teraz wychodziła. Za chwilę lunie i znowu przemokniesz.

- Zdążę dobiec do domu.

- Nie sądzę.

Brianna jej nie słuchała, tylko ubierała się szybko. Wcale nie chodziło jej o to, czy zdąży przed deszczem do domu; zależało jej na tym, żeby zanim się rozpada, znaleźć się koło domu Russella.

Udało jej się, ale huśtawki, na których przed niecałą godziną siedziały dziewczynki, teraz były puste. W ogrodzie nie było ani ich, ani ich brata. Nie było również samochodu stojącego wcześniej przed garażem. Dopiero kiedy się zorientowała, że go nie ma, przypomniała sobie, że przecież Russell mówił coś o wyjeździe do miasta.

Zawiedziona, szła powoli, mimo że z nieba spadały już pierwsze ciężkie krople. Przyspieszyła dopiero, gdy dotarła do końca ulicy i deszcz się nasilił. Nic to jednak nie pomogło. Tak, jak przewidziała jej koleżanka, przemokła do suchej nitki.



Dopiero kiedy zdjęła ociekającą wodą kurtkę, weszła do kuchni i zobaczyła mamę, uświadomiła sobie, że od chwili spotkania z Russellem ani razu nie pomyślała o tym, co wcześniej tak ją niepokoiło - o Lilly i jej wizycie u lekarza.

Czuła się winna, że z powodu chłopaka, którego wcale nie znała - z powodu swojego marzenia, bo choć istniał naprawdę, dla niej był tylko marzeniem - zapomniała o czymś bardzo ważnym.

- Cześć, mamó - rzuciła, próbując odczytać z jej oczu, czego dowiedziała się od lekarza.

Matka, zajęta krojeniem warzyw, nie wyglądała na zmartwioną. Przerażoną minę zrobiła dopiero wtedy, gdy podniosła wzrok i spojrzała na córkę.

- O Boże, jak ty wyglądasz?!

- Domyślam się, że jak kupka nieszczęścia - odparła dziewczyna, przypominając sobie słowa Vicky.

- Jesteś zupełnie mokra. Szybko, idź się przebrać, bo się przeziębisz.

- Za chwilę. Powiedz mi najpierw, co powiedział lekarz.

Mama odłożyła nóż i zamyśliła się.

- Nic konkretnego - odrzekła po chwili. - Nic?

- Zrobili kilka badań, wyniki mają być w przyszłym tygodniu. Ale po rozmowie z Lilly lekarz powiedział, że to raczej nie jest alzheimer.

Brianna odetchnęła z ulgą.

- Oczywiście, bez wyników badań nie mógł tego całkowicie wykluczyć, ale, według niego, jest to raczej związana z wiekiem demencja, spotęgowana teraz zmianą miejsca zamieszkania.

- Jeśli rzeczywiście tak jest, to po jakimś czasie, kiedy babcia Lilly przyzwyczai się do nowego domu, miasta i otoczenia, wszystko powinno wrócić do normy, prawda?

- Miejmy nadzieję. A teraz biegnij się przebrać. Brianna jednak lekceważąco machnęła ręką.

- A jak ona zareagowała na to, że idziecie do lekarza z powodu jej kłopotów z pamięcią? - spytała. Poprzedniego dnia obie zastanawiały się, w jaki sposób przekazać to Lilly, żeby nie sprawić jej przykrości.

Matka uśmiechnęła się.

- Niepotrzebnie się martwiłyśmy. Ona jest cudowna. Ledwie zaczęłam o tym mówić, powiedziała, że sama już myślała, żeby się zwrócić do specjalisty.

- Jest teraz w pracowni, prawda? - Brianna domyśliła się tego, słysząc dochodzące stamtąd dźwięki muzyki Mozarta. - Przebioreę się i zajrzę do niej.



Siedziały po dwóch stronach stołu z surowego drewna. Lilly malowała anioła, a Brianna, która właśnie skończyła oczyszczać formy z resztek gipsu, rozejrzała się, patrząc, co jeszcze mogłaby zrobić. Pędzle jednak były umyte, farby ułożone według kolorów, a stół czysty.

- Nie masz ochoty pomalować któregoś? - spytała Lilly, pokazując ustawione w rzędzie gipsowe figurki.

Brianna dokładnie obejrzała anioły, z nadzieją że któryś z nich będzie miał, na przykład, ukruszone skrzydło. Takich wybrakowanych Lilly nie malowała, zostawiając je prawnuczce, żeby ćwiczyła na nich swoje malarskie umiejętności, ale dzisiaj, jak na złość, wszystkie były idealne.

- Trochę mi szkoda - odparła.

- I tak przecież nie nadążam z malowaniem.

Rzeczywiście, rząd białych aniołów z każdym dniem był coraz dłuższy.

Brianna niepewnie sięgnęła po najmniejszą figurkę.

- Weź tę - zaproponowała Lilly, podsuwając jej jedną z największych.

- Nie żal ci go?

- Nie. Zobacz, jak pięknie ci wyszedł ten ostatni. - Lilly wskazała małego anioła kalekę bez połowy skrzydła.

Brianna pomalowała go przed dwoma dniami i po raz pierwszy była zadowolona ze swojego dzieła. „Zaspany aniołek”, jak go nazwała, był naprawdę śliczny i obje żałowały, że użyła wybrakowanej figurki.

Była przekonana, że udał jej się zupełnie przypadkowo, i wciąż nie wierzyła w swoje umiejętności, zabrała się więc za malowanie bardzo ostrożnie, gotowa przerwać, kiedy tylko coś jej się nie spodoba, żeby Lilly mogła jeszcze uratować figurkę. Zaczęła od skrzydeł i z każdym pociągnięciem pędzla nabierała pewności siebie.

Co jakiś czas czuła na sobie spojrzenie prababci. Wtedy przerywała na chwilę pracę, czekając na jej uwagi.

- Maluj dalej, świetnie ci idzie - mówiła Lilly, po czym wracała do swojego zajęcia i nucenia arii z *Wesela Figara*.

W pewnym momencie Brianna nabrała takiej pewności, że sama też zaczęła podśpiewywać.

Kiedy płyta się skończyła, obie były tak zajęte, że żadna się nie ruszyła, by ją zmienić.

Brianna pokryła już farbą skrzydła, tunikę anioła oraz włosy i była całkiem zadowolona z rezultatu. Pozostała jej jednak najtrudniejsza część - twarz. Postanowiła więc zrobić krótką przerwę.

Spojrzała na prababcie, która uśmiechała się, jakby myślała o czymś śmiesznym.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała dziewczyna.

- Krokodyl - odparła Lilly i roześmiała się głośno.

Brianna wystraszyła się, że prababci znów się coś poplątało, ale Lilly zauważyła jej zakłopotanie i szybko ją uspokoiła.

- Nie bój się, wszystko jest w porządku, tylko przypomniałam to sobie i nie potrafię zrozumieć, jak mogłam pomylić żółwia z krokodylem.

- A wiesz, że to nawet jest zabawne.

- Jest, i właśnie dlatego się śmieję - powiedziała Lilly i odłożyła pędzel, ponieważ śmiech tak wstrząsał jej ciałem, że mogłaby pochłapać farbą prawie gotowego anioła.

Przez chwilę śmiały się razem, potem każda zabrała się do pracy, ale kilka minut później Brianna zachichotała.

- Pan Krokodyl - powiedziała. - Wiesz, że to imię podoba mi się bardziej niż Pan Żółw? Chyba będę tak do niego mówić.

- A myślisz, że on będzie wtedy wiedział, że zwracasz się do niego?

- Jeśli zobaczy, że mam w ręce krewetki, to na pewno będzie wiedział. Kiedy zbliżam się do niego z jedzeniem, mogłabym mówić „Panie Słoni” albo „Panie Hipopotamie”, a i tak wiedziałby, że chodzi o niego.

Lilly spoważniała i po chwili, kiedy jej prawnuczka kończyła malować policzki anioła, powiedziała:

- Jak to dobrze, że potrafimy się z tego śmiać.

- To prawda - zgodziła się z nią Brianna i zaczęła nanosić ciemnoniebieską farbę na oczy.

Potem z wprawą, o jaką się nie podejrzewała, naniosiła cieniutkim pędzelkiem kreseczki rzęs oraz brwi i lekko podcieniowała powieki. Pozostały jej tylko usta. Wahala się przez chwilę, nim zaznaczyła zarys warg, obawiała się bowiem, że to, co zamierza zrobić, zepsuje efekt, z którego na razie była zadowolona. W końcu zdecydowała się i podciągnęła kąciki warg anioła ku górze.

- „Roześmiany anioł” - powiedziała Lilly, przyglądając się dziełu prawnuczki. - Jest piękny.

Briannie też się podobał, ale skąd mogła wiedzieć, że potrafi obiektywnie ocenić swoje umiejętności?

- Myślisz, że można by go było oddać do galerii? - spytała nieśmiało.

- Oczywiście. Tylko nie wiem, czy powinnaś się go pozbywać. To jest w końcu twój pierwszy nie kaleki anioł.



Wyniki badań nie wskazywały na alzheimera, co ucieszyło Briannę, jej rodziców, a przede wszystkim Lilly. Lekarz przepisał jej lekarstwa, które powinny przynajmniej w jakimś stopniu zapobiegać zanikowi pamięci, wszyscy w rodzinie byli więc dobrej myśli.

Brianna bardzo tego potrzebowała, ponieważ w ciągu kolejnych tygodni poza domem nie układało jej się najlepiej i wszystko wskazywało na to, że wkrótce może poczuć się samotna.

Kiedy Marsha zaczęła się spotykać z Johnnym Bradfieldem, Brianna i Megan pocieszały się tym, że mają siebie nawzajem, ale ostatnio Megan coraz częściej spędzała przerwy z odmienionym po wakacjach Ryanem MacKenziem, z którym przygotowywała projekt z ekologii.

Pytana przez Briannę o Ryana, za każdym razem odpowiadała, że to nic poważnego. Ale zawsze na koniec dodawała: „na razie”. I to „na razie” trochę Briannę martwiło. Zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później Megan zacznie się z kimś spotykać, i nie świadczyłoby to o niej dobrze jako o przyjaciółce, gdyby jej tego nie życzyła, ale perspektywa, że jako jedyna z ich trójki zostanie dziewczyną bez chłopaka, nie była najprzyjemniejsza.

Podczas gdy Megan wspaniale współpracowało się z Ryanem, Briannie coraz trudniej było się dogadać z Vicky, która ostatnio stała się nie do zniesienia.

Któregoś dnia w czasie przerwy podeszła do niej i z triumfalną miną wręczyła kartkę.

- Co to jest? - spytała Brianna.

- Plan naszego projektu.

- Przecież już go mamy.

- Mamy twój plan, a nie nasz.

- No dobrze - powiedziała Brianna i zerknęła na kartkę.

Jeden rzut oka wystarczył, żeby zobaczyła kilka błędów. Pierwszy punkt właściwie pokrywał się z drugim, czwarty w ogóle nie dotyczył tematu projektu, a kilka kolejnych Vicky sformułowała tak, że nie wiadomo było, o co chodzi.

Brianna nie miała wątpliwości, że jej plan jest lepszy, ale nie mogła tego powiedzieć tak po prostu. Musiała zadać sobie trud i przekonać Vicky. A widząc jej nastawienie, czuła, że nie będzie to proste.

- Słuchaj, może wpadnę do ciebie dzisiaj po lekcjach i to przedyskutujemy -

zapropowała, oczami wyobraźni widząc pewien obraz: dziewczynki na huśtawkach, ich brat przed domem.

- Dzisiaj jestem umówiona. Tylko nie z nim, pomyślała Brianna.

- Jutro zresztą też nie mogę - dodała Vicky. - Usiądziemy w stołówce i to omówimy.

I tak od kilku dni spędzały razem przerwy na lunch i nie mogły się dogadać.

W końcu, kiedy czas zaczął gonić i trzeba było przystąpić do realizacji poszczególnych punktów planu, Brianna zniecierpliwiła się i zaproponowała, żeby zwrócić się do Evansa, nauczyciela ekologii, i poprosić go o mediację. Nie uśmiechało jej się to, bo nie przepadała za tym mało sympatycznym człowiekiem, ale nie miała wyjścia. Liczyła tylko na to, że Vicky, która też go nie lubiła, mając do wyboru zwrócić się do niego albo jakiś kompromis, wybierze to drugie.

Przeliczyła się i po następnych zajęciach z ekologii poszły do nauczyciela - każda ze swoją kartką.

Evans skrytykował plan Vicky, pochwalił plan Brianny i od tego czasu Vicky prawie przestała z nią rozmawiać. Jeśli już się odzywała, to mało przyjemnym tonem.

Brianna była wściekła i w ogóle nie wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać ich dalsza współpraca.

Myślała o tym, gdy siedząc sama w pracowni - bo Lilly poszła się zdrzemnąć - malowała miniaturowego aniołka. Złość dodawała jej energii, bo kiedy prababcia po godzinie wróciła, był już gotowy.

- „Wkurzony aniołek” - nazwała go Lilly.

- Właśnie. A anioły powinny mieć dobre, łagodne twarze.

- Anioł też człowiek, też ma prawo czasami się wkurzyć. - Lilly pogładziła prawnuczkę po włosach i poszła do gramofonu, żeby nastawić płytę.

Dźwięki *Symfonii g - moll* Mozarta sprawiły, że Brianna zapomniała o kłopotach z Vicky i zaczęła myśleć o kimś zupełnie innym, kto z Vicky miał tylko tyle wspólnego, że był jej sąsiadem. Taką przynajmniej miała nadzieję - że nic więcej ich nie łączy.

- Weź tego - powiedziała Lilly, widząc, że dziewczyna odkłada „Wkurzonego aniołka” i zastanawia się, którą figurkę wybrać do malowania. - Dzisiaj w południe dzwoniła właścicielka galerii i prosiła, żeby w następnej dostawie było więcej tych dużych. Podobno klienci są nimi bardziej zainteresowani. Zresztą to samo mówi Martha. W San Francisco też najlepiej sprzedają się duże. A właśnie, czy mówiłam ci, że Martha była zachwycona „Roześmianym aniołem”?

Brianna obiecała kiedyś prababci, że nie będzie przed nią niczego ukrywać. Jeśli Lilly

przekreśli imiona albo będzie dwa razy opowiadać tę samą historię, zwróci jej na to uwagę. Na początku przychodziło jej to z trudem, ale powoli się przyzwyczajała. I teraz zrobiła to już całkiem odruchowo.

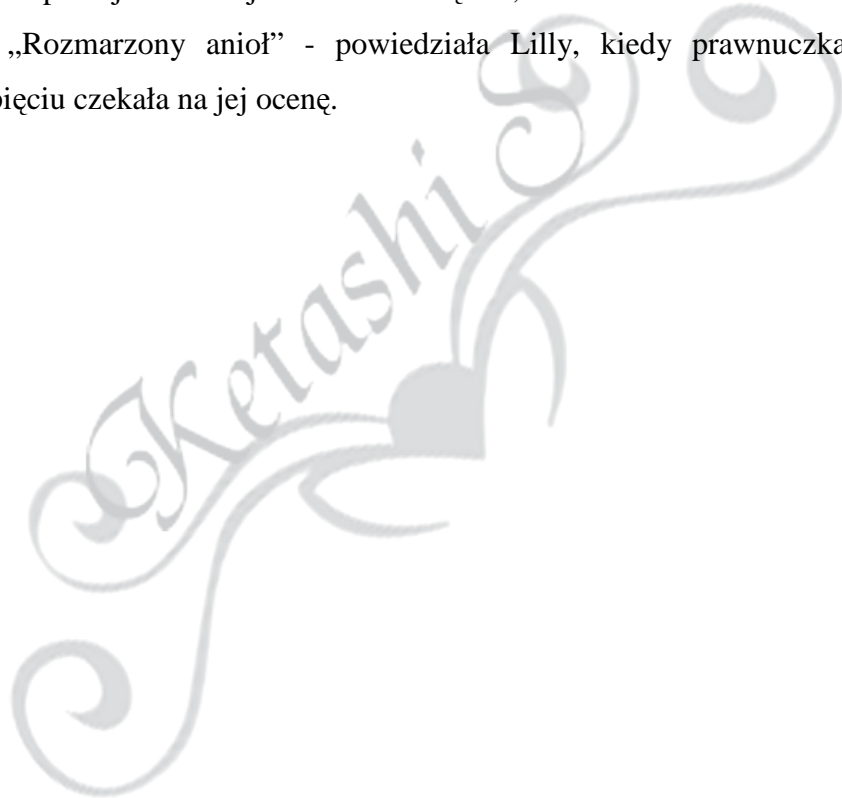
- Tak, babciu Lilly, mówiłaś. I bardzo się cieszę, że jej się spodobał - powiedziała, sięgając po największą figurkę.

- Ale może skończysz już na dzisiaj? Nie jesteś zmęczona?

- Nie, jest dopiero szósta. Jutro i pojutrze będę się musiała przygotowywać do testu z fizyki, ale dzisiaj mogę posiedzieć w pracowni.

Brianna coraz pewniej władała pędzlami - większymi, mniejszymi i całkiem malutkimi, takimi, jakich używa się do rysowania kresek wokół oczu - a muzyka Mozarta sprawiła, że sięgała po najdelikatniejsze odcienie błękitu, różu i złota.

- Piękny „Rozmarzony anioł” - powiedziała Lilly, kiedy prawnuczka skończyła malować i w napięciu czekała na jej ocenę.



- Brianno, możesz zostać na chwilę? - spytał Evans, kiedy po lekcji wychodziła z klasy.

Bardziej niż fakt, że czegoś od niej chce, zdziwiło ją, że wie, jak ma na imię, bo raczej nie zadawał sobie trudu, by zapamiętywać imiona uczniów.

- Tak, oczywiście - powiedziała i podeszła do biurka.

- Hmm. Chodzi o to, że...

Zaniepokoiła się. Sprawa musiała być poważna, skoro Evans nie wiedział, jak zacząć.

- Krótko mówiąc, była u mnie... - spojrzał w swoje notatki i przeczytał: - Vicky O'Donnell i skarżyła się, że nie układa jej się współpraca z tobą.

Briannę zatkało. Vicky o wiele można było posądzać, zwłaszcza po tym, jak okropnie zachowywała się ostatnio, ale nie o donoszenie nauczycielom na koleżankę. Czegoś takiego po prostu się nie robiło.

Chęć podzielenia się z nim wszystkim zarzutami, jakie miała wobec Vicky, była ogromna, ale Brianna się powstrzymała. Nie zniży się do tego, żeby na nią skarżyć. Stała więc tylko i kręciła głową.

- Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć i zrobić - odezwała się w końcu.

- Ale ja wiem.

On nawet potrafi się uśmiechać, stwierdziła ze zdziwieniem.

- Myślę, że jeśli będziesz pracowała bez... - znów zerknął do notatek - Vicky O'Donnell, projekt na tym nie ucierpi.

- Rozumiem, że ona również będzie pracowała nad projektem sama - powiedziała, starając się ukryć zadowolenie.

Nauczyciel znów się uśmiechnął, tym razem nieco inaczej, bardziej złośliwie.

- Nie, Vicky O'Donnell będzie pracowała z... zaraz... jak się nazywa ten chłopak, który na poprzedniej lekcji powiedział, że jeśli nie zrobi się czegoś z dziurą ozonową, to w Nowej Anglii zacznie rosnać las deszczowy, a na dzisiejszej, że na Florydzie żal by zagrażają populacji aligatorów?

Brianna nie mogła się nie roześmiać. Nawet nie z głupoty Aleksa, bo zawsze uważała go za debila, ale z tego, co może wyniknąć z jego współpracy z Vicky.

Alex Mallory miał pracować nad projektem razem z Peterem Mitchellem, chłopakiem dosyć inteligentnym, ale wyjątkowo leniwym. Po dwóch lekcjach Peter postanowił zmienić

ekologię na jakiś inny przedmiot. Niewykluczone, że wolał zrobić to, niż mieć do czynienia z Aleksem. Tak czy owak, Alex pozostał bez pary.

Brianna przyglądała się nauczycielowi, zastanawiając się, czy jego posunięcie jest przypadkowe, czy coś się za nim kryje.

Jego makiaweliczny uśmiech przekonał ją, że doskonale wiedział, co robi.

- To chyba niezły pomysł, prawda? - spytał.

- Fantastyczny. - Nie mogła się powstrzymać i odpowiedziała mu podobnym uśmiechem.

- Twój plan projektu był bardzo ciekawy - powiedział.

- Dziękuję. Do widzenia.

- Do widzenia.

Megan z bardzo zmartwioną miną czekała na nią przed klasą. Zdziwiła się, kiedy przyjaciółka wyszła uśmiechnięta.

- Czego on od ciebie chciał? - spytała.

- Zaraz ci wszystko opowiem, tylko odejźmy kawałek. - Brianna pociągnęła ją za ramię i kiedy znalazły się kilkanaście metrów od klasy, powiedziała: - Chyba go lubię.

- Jeszcze przed lekcją mówiłaś, że go nie znosisz - przypomniała jej przyjaciółka.

Tak było. Brianna rzeczywiście nie pozostawiła na nim suchej nitki, a Megan, która po części jemu zawdzięczała to, że zbliżyła się z Ryanem MacKenziem, dość nieudolnie próbowała bronić młodego nauczyciela.

Kiedy w drodze do stołówki Brianna opowiedziała jej przebieg rozmowy z Evansem, Megan była w równym stopniu oburzona donosicielstwem Vicky, jak ubawiona karą, która ją za to spotka.

Gdy w stołówce przechodziły obok Vicky, obdarzyła je lekceważącym spojrzeniem.

- Jeszcze, głupia, nie wie, co ją czeka - szepnęła Megan, gdy nieco odeszły.

Kiedy stanęły w kolejce po jedzenie, dołączyła do nich Marsha, której czasami zdarzało się zatęsknić za towarzystwem przyjaciółek i zamiast siadać ze swoim chłopakiem, jadła lancz z nimi.

Przy stole Megan z bardzo poważną miną obwieściła nowinę, która dla obu jej przyjaciółek nie była właściwie już żadną nowiną:

- Ja i Ryan... no, wiecie.

Brianna szczerze się ucieszyła, kiedy Marsha oficjalnie przyznała, że się spotyka z Ryanem. Ryan MacKenzie był miły, niegłupi, miał dość wysublimowane poczucie humoru, a w dodatku po tym, jak schudł kilkanaście albo kilkadziesiąt kilo, całkiem nieźle wyglądał. Chłopaków, którzy łączą wszystkie te cechy, nie ma aż tak wielu i Brianna pewnie mogłaby jej zazdrościć. Mogłaby, ale nie zazdrościła. Po pierwsze, dlatego że Megan była jej przyjaciółką, a po drugie - jej myśli zajmował inny chłopak. I to zajmował je niemal niepodzielnie.

Dopiero kiedy pożegnawszy się z Megan na przystanku autobusowym, szła sama do domu, euforia powoli gasła i Brianna poczuła się samotna. Gasła również satysfakcja wynikająca z tego, że Vicky została ukarana; zastępował ją żal, że koleżanka zachowała się wobec niej tak nieuczciwie.

Weszła do domu przygnębiona i od razu zdała sobie sprawę, że nastrój się jej nie poprawi.

- Co się stało? - spytała, widząc minę mamy.

- Lilly wyszła na spacer i jeszcze nie wróciła.

- Uspokój się. - Córka widziała, jak matka chodzi w tę i w tę po przedpokoju, jak lew w klatce. - Kiedy wyszła?

- Jakies dwie godziny temu.

- Jest ładna pogoda, może miała ochotę pochodzić dzisiaj trochę dłużej. - Brianna nie mogła powiedzieć tego, co czuje, a czuła, że mają powód do niepokoju.

W czasie wakacji codziennie spacerowała z Lilly, ale nigdy nie trwało to dłużej niż godzinę. Dłuższe spacery przekraczały możliwości starszej pani, która poruszała się za pomocą laski, szczególnie że po drodze nie było żadnej ławki, na której mogłaby przysiąść, żeby odpocząć.

- Dlaczego z nią nie poszłam? - zaczęła sobie wyrzucać matka.

- Dlatego, że dotąd często chodziła sama i nic złego się nie stało - powiedziała córka, która uważała, że to nie jest pora na robienie sobie wyrzutów, tylko na działanie. - Poszukam jej.

- Przez godzinę objeżdżałam okolicę i nigdzie jej nie było. Wróciłam przed chwilą, bo przypomniałam sobie, że nie wzięła klucza i nie będzie się mogła dostać do domu.

- Daj mi kluczyki do samochodu - poprosiła Brianna. - Ty tu czekaj, a ja spróbuję jej poszukać. Nie martw się, na pewno jest gdzieś niedaleko.

- Masz komórkę? - spytała matka, dając jej kluczyki.

- Tak. Gdyby wróciła, zadzwoń do mnie.

- Ty też zadzwoń, jak tylko ją znajdziesz.

- Jasne.

- O Boże - westchnęła mama.

- Nie martw się, babci Lilly na pewno nic się nie stało! - zawołała Brianna, wybiegając z domu.

Jeździła po okolicy, próbując obliczyć, jak daleko mógł zawędrować ktoś, kto porusza się wolnym krokiem, pomagając sobą laską. Nie potrafiła tego sprecyzować, ale kiedy dojeżdżała do miejsc znajdujących się kilkanaście przecznic od ich domu, stwierdziła z całym przekonaniem, że aż tu Lilly dojść nie mogła, i wracała na ulice położone w bliższym sąsiedztwie.

W tym czasie kilka razy dzwoniła do domu, z nadzieją że prababcia już wróciła, tylko mama z przejęcia zapomniiała Briannę o tym poinformować. Za każdym razem słyszała wypowiedane coraz bardziej nerwowym głosem:

- Nie, nie ma jej.

Mama myślała podobnie jak ona i również co jakiś czas dzwoniła, pytając:

- Nie znalazłaś jej?

- Nie, mamó. - Mimo że dziewczyna starała się nie okazywać niepokoju, jej głos był coraz bardziej przygnębiony.

- Zadzwoń na policję - powiedziała matka.

- Poczekaj z tym jeszcze trochę - poprosiła córka.

Ale kiedy po ponad godzinnym jeźdzeniu po znanych jej i nieznanach ulicach matka znów zadzwoniła, Brianna postanowiła nie powstrzymywać jej dłużej przed włączeniem policji w poszukiwania prababci.

- Wracaj, Lilly jest już w domu - usłyszała i poczuła taką ulgę, że musiała się bardzo starać, by nie puścić kierownicy. Trzymała ją kurczowo, ale to pozbawiło ją wszystkich sił i nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Gdzie jesteś? - spytała matka. Dziewczyna rozejrzała się.

- Nie wiem - odparła nieprzytomnym głosem. Nie miała pojęcia, na jakiej jest ulicy ani ile kilometrów dzieli ją od domu. - Ale zaraz będę.

- Kochanie, uważaj, jak jedziesz - poprosiła ją mama.

Brianna dobre dziesięć minut kluczyła po zupełnie nieznanym okolicy. Do tej pory cieszyła się, że mieszka w mieście, w którym ulice mają nazwy, a nie numery. Dziś po raz

pierwszy zrozumiała zalety wynikające z numerowania ulic.

W końcu znalazła się na Barkley Street, przy której mieszkała Megan, i wiedziała już, jak dojechać do domu.



Z przejęcia Brianna nie zwróciła uwagi, że przed domem stoi nieznanego samochodu. Nie chcąc tracić czasu, nie wjechała do garażu, tylko zostawiła chevroleta mamy na podjeździe. Zanim otworzyła drzwi, szybko wierzchem dłoni otarła z policzków łzy. Po ostatnim telefonie mamy poczuła taką ulgę, że nie mogła nad nimi zapanować.

- Babciu Lilly... - Podbiegła do prababci, która, słysząc, że otwierają się drzwi, przykuśtykała do przedpokoju. - Tak się cieszę, że wróciłaś - powiedziała, obejmując ją mocno.

- A ja przepraszam za te kłopoty. Tak mi przykro, że was przestraszyłam.

- Nie przepraszaj - odezwała się mama Brianny, która po chwili również zjawiała się w przedpokoju. - Najważniejsze, że jesteś.

- To przez tę moją pamięć - rzekła Lilly. - Biorę lekarstwa, a mimo to zdarzają mi się takie momenty, że wszystko mi się płacze i zaczynam się gubić.

- Zabłądziłaś, tak? - spytała Brianna z troską w głosie.

- Wydawało mi się, że spacerowałam tą samą trasą co zwykle, i nagle uświadomiłam sobie, że zupełnie nie wiem, gdzie jestem.

- Najważniejsze, że jakoś znalazłaś drogę do domu.

- Otóż nie. Nie miałam pojęcia, dokąd iść. A co gorsza, kompletnie wyleciała mi z pamięci nazwa ulicy i numer naszego domu.

Brianna wyobraziła sobie, jak przerażona musiała być Lilly w tym momencie, i czule pogłaskała ją po policzku.

- Ale w końcu sobie przypomniałaś, prawda? Lilly pokręciła głową.

- Więc jak trafiłaś? - spytała Brianna. Prababcia wzięła ją pod ramię i wolno poprowadziła do salonu.

Już od dłuższej chwili Brianna miała wrażenie, że oprócz niej, Lilly i mamy w domu ktoś jeszcze jest. Może to po prostu czuła, a może usłyszała lekkie skrzypienie kanapy, z której ktoś się podniósł, gdy weszły do salonu.

- Pomógł mi ten mity młody człowiek - powiedziała Lilly.

Brianna przyglądała się chłopakowi, jakby zobaczyła ducha. Starsza pani to dostrzegła.

- Poznajesz tego młodzieńca, prawda? Brianna stała jak skamieniała, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

- Kiedy byliśmy na sushi, był w restauracji ze swoją rodziną - powiedziała Lilly, sądząc, że prawnuczka go sobie nie przypomina.

Głos wciąż nie mógł się wydobyć z gardła dziewczyny.

- To jest Russell - przedstawiła go Lilly. - A to jest moja prawnuczka Brianna.

- Ale... co... jak... - zaczęła bąkać Brianna, zamiast rzucić jakąś uprzejmą formułkę w stylu: „Miło mi cię poznać”.

Za to on, mimo że był wyraźnie speszony, nie zapomniał o dobrym wychowaniu.

- Bardzo mi miło - powiedział, uśmiechając się.

- Ale... jak... w jaki sposób... - bąkała dalej Brianna.

- Zrobimy tak. - Lilly zwróciła się do prawnuczki. - Ja poproszę twoją mamę, żeby zaprowadziła mnie do pokoju, bo muszę przyznać, że jestem po tej eskapadzie trochę zmęczona. - A Russell - popatrzyła na chłopaka - opowie ci, jak to było.

Chłopak wykazał się refleksem i widząc, że starsza pani rusza w jego stronę, żeby się pożegnać, natychmiast znalazł się przy niej i pozwolił, by wzięła jego dłoń w obie ręce.

- Jeszcze raz bardzo ci dziękuję za pomoc - powiedziała, uśmiechając się do niego ciepło. - I mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

- Ja również mam taką nadzieję.

Zanim wyszła z salonu, zwróciła się do Brianny:

- Może zaproponujesz Russellowi coś do picia?

- Tak, oczywiście.

Briannie zaschło w ustach i głos miała trochę ochrypliwy, ale przynajmniej potrafiła już mówić składnie, a nie dukać jak przed chwilą.

- Zaraz przyniosę ci coś do picia, ale najpierw mi opowiedz, w jaki sposób znalazłeś nasz dom, skoro moja prababcia nie pamiętała ani ulicy, ani numeru - poprosiła, kiedy została z Russellem sama.

- Wracalem ze szkoły i na rogu ulicy zobaczyłem starszą panią, która bezradnie się rozglądała. Minałem ją i pojechałem dalej. Kiedy przed domem zwolniłem i spojrzałem we wsteczne lusterko, wciąż tam stała. Coś mnie w tym zaniepokoiło i zawróciłem. Zatrzymałem się przy niej i wysiadłem z samochodu. Wtedy ją rozpoznałem.

- Musisz mieć niezwykłą pamięć do twarzy - zauważyła Brianna. - Widziałeś ją tylko przez chwilę i rozpoznałeś po kilku tygodniach.

- Zapamiętałem ją, bo... bo była z tobą.

Starła się ukryć, jakie wrażenie zrobiły na niej te słowa, ale było jej bardzo przyjemnie.

- Zapytałem, czy jej nie pomóc - ciągnął Russell. - Podziękowała, powiedziała, że sobie poradzi.

- Biedna, musiała się wstydzić, że zapomniała adresu.

- Pewnie tak. W każdym razie nie zostawiłem jej. Przyznałem się, że ją pamiętam, że widziałem ją w japońskiej restauracji, w której była z wnuczką. Wtedy myślałem, że jest twoją babcią - wyjaśnił. - Pamiętała nawet to, że byłem tam z rodzicami i siostrami, ale wciąż nie mogła sobie przypomnieć ulicy i numeru waszego domu. Najważniejsze, że wzbudziłem w niej zaufanie na tyle, że w końcu mi to wyznała.

Zaciekawiona Brianna nie mogła się doczekać końca opowieści.

- I co wtedy? - ponagliła chłopaka, kiedy na chwilę przerwał.

- Wtedy sprawa była już prosta. Poprosiłem twoją prababcie, żeby wsiadła ze mną do samochodu, i podjechałem pod dom moich sąsiadów, O'Donnellów.

- Pod dom Vicky?

- Właśnie.

- Przypomniałeś sobie, że jest moją koleżanką - podpowiedziała mu.

- Przypomniałem? - Russell uśmiechnął się tak jakoś dziwnie. - Od chwili, kiedy się o tym dowiedziałem, to znaczy od tamtego dnia, gdy zobaczyłem cię idącą w deszczu, nigdy o

tym nie zapomniałem.

Brianna powstrzymała się przed poproszeniem go, by jej to wyjaśnił. Wołała wierzyć, że za jego słowami kryje się coś, co budziło w niej nadzieję.

- I Vicky dała ci nasz adres, tak?

- Poprosiłem ją o telefon, ale tym razem też nie chciała mi go zdradzić. Dopiero kiedy jej wyjaśniłem, o co chodzi, i trochę na nią nakrzyczałem, dała mi i nawet pozwoliła zadzwonić ze swojego domu. Ale wasz telefon był zajęty.

- Pewnie mama akurat dzwoniła do mnie - domyśliła się Brianna.

- Prawdopodobnie. Nie chciałem czekać, aż zwolni się linia, więc zmusiłem Vicky, żeby dała mi adres, i przywiozłem tu twoją prababcie.

- Jakie to szczęście - powiedziała, wzdychając. Russell znów uśmiechnął się w ten tajemniczy sposób.

- Tak, chyba miałem szczęście.

- Nie... nie... to nie... - Po jego ostatnich słowach była tak zmieszana, że znowu zaczęła dukać. - Lilly miała szczęście, ja i moja mama miałyśmy szczęście - powiedziała, z trudem panując nad uczuciami.

Nerwowo zerwała się z kanapy.

- Przyniosę ci coś do picia - oznajmiła, uznawszy, że musi przynajmniej na chwilę wyjść, żeby się uspokoić. - Może być mrożona herbata?! - zawołała z przedpokoju.

Spędziła w kuchni tyle czasu, jakby przygotowywała napój domowej roboty, a nie wyjęła go z lodówki i nałała do dwóch szklanek. Czując, jak płoną jej policzki, przyłożyła do nich butelkę i przy każdym chwile trzymała, zanim schowała ją z powrotem do lodówki.

W przedpokoju przystanęła przed lustrem, żeby sprawdzić, czy na jej twarzy widać wszystko, co czuje. Ona widziała. Zrobiła kilka głupich min, ale to nic nie pomogło. Kiedy, idąc już do salonu, zatrzymała się i odwróciła, zobaczyła w lustrze twarz zakochanej dziewczyny.

- Proszę - powiedziała, stawiając przed nim szklanę.

- Dzięki.

Zanim odważyła się zadać mu pytanie, które od kilku minut nie dawało jej spokoju, wypita kilka łyków herbaty.

- Mówiłeś, że Vicky tym razem też nie chciała ci dać mojego telefonu - przypomniała mu.

- Tak.

- Tym razem?

Chłopak skinął głową.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziała.

- Ja też nie.

- Zaraz, czego ty nie rozumiesz? - spytała Brianna. - Bo ja nie rozumiem, dlaczego użyłeś zwrotu „tym razem”. To, co powiedziałaś, oznacza, że już kiedyś nie chciała ci dać tego telefonu.

- A ja nie rozumiem, jak to możliwe, że o tym nie wiesz. Chyba że...

- Prosiłeś wcześniej Vicky o numer mojego telefonu?

- Nie wiedziałaś o tym? - spytał zaskoczony. W głowie Brianny powoli wszystko zaczynało się układać w logiczną całość.

- Nie miałam pojęcia - odparła. - Kiedy to było?

- Kilka dni po naszym spotkaniu pod moim domem. Naprawdę nic ci o tym nie mówiła?

- Nie pisnęła ani słowem.

- Wstrętna kłamczucha! - rzucił Russell. - Kiedy zwróciłem się do niej o twój numer telefonu, zaczęła się wykręcać, że nie może bez twojej wiedzy, że jej by się nie podobało, gdyby ktoś na prawo i lewo rozdawał jej numer, więc nie może tego zrobić swojej koleżance, i tak dalej. Uznałem, że jest w tym trochę racji, i poprosiłem, żeby cię spytała. - Pokręcił głową. - Obrzydliwa kłamczucha.

W dodatku donosicielka, pomyślała Brianna.

- Na drugi dzień sama do mnie podeszła, kiedy kosiłem w ogrodzie trawę, i powiedziała, że zapytała cię, ale ty nie życzysz sobie, żebym miał twój numer.

- Uwierzyłeś jej?

- Jeśli ktoś mi coś mówi, raczej nie mam zwyczaju zakładać, że to kłamstwo.

Ze zrozumieniem skinęła głową.

W salonie zapadła cisza. W tym samym momencie sięgnęli po szklanki, wypili po kilka łyków herbaty i niemal jednocześnie je odstawili.

- Dlaczego chciałeś mój numer? - Brianna już myślała, że nigdy nie zada tego pytania.

- Hmm... Najpierw ty mi coś powiedz - poprosił. - Co byś zrobiła, gdyby cię wtedy zapytała?

- Pozwoliłabym jej dać mój numer. I... - Chwilę się wahała, ale w końcu odważyła się dodać: - I ucieszyłabym się.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. Wcale nie czuła się źle po tym szczerym wyznaniu.

- Teraz ty - ponagliła go.

- Z jakiego powodu chłopak może chcieć zdobyć numer telefonu dziewczyny? - odpowiedział pytaniem na jej pytanie.

- Bo... bo...

- Bo mu się podoba. Spodobałaś mi się wtedy w japońskiej restauracji, a kiedy zobaczyłem cię po raz drugi, uznałem, że to nie może być zwykły przypadek, że to coś musi oznaczać, i postanowiłem jakoś zadziałać, żeby nawiązać z tobą kontakt. Teraz żałuję, że tak szybko zrezygnowałem. Ale, z drugiej strony, jak mogłem przypuszczać, że ktoś może tak obrzydliwie kłamać. Jak ją spotkam, to...

Był zabawny w tym swoim zacierzwieniu i Brianna się roześmiała.

- Nie musisz się jej odplacać - powiedziała. - Została ukarana.

Popatrzył na nią zdziwiony, a ona opowiedziała, jak się dzisiaj skończyła historia jej współpracy z Vicky przy projekcie z ekologii.

- Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego się wobec mnie tak zachowywała - dodała na koniec.

- A ja nie. Dlaczego tak ją wkurzyło to, że poprosiłem o twój numer telefonu?

- Naprawdę jesteś taki skromny czy tylko udajesz?

- Słowo honoru, że nie wiem, o co jej właściwie chodziło.

- Podobałaś się jej i się wściekła, kiedy zrozumiała, że zwróciłeś uwagę na inną dziewczynę. Miała nadzieję, że ty i ona... - Uważała, by nie użyć słowa „ciacho”. Nie chciała, żeby przyszło mu do głowy, że ona może o nim myśleć w podobnie przedmiotowy sposób.

- Ja i ona? - Russell skrzywił się i pokręcił głową. - Nie, raczej nie zainteresowałbym się taką dziewczyną.

Była trochę rozczarowana, kiedy w przedpokoju rozległy się kroki i po chwili do salonu weszła mama. Trzymała anioła. Córka rozpoznała jedną z gipsowych figurek, do których Lilly była tak przywiązana, że nie chciała oddać ich do galerii. A ta musiała być wyjątkowa, bo przyleciała z nią samolotem, a nie, jak kilka innych, w paczce.

- Lilly zdrzemnęła się, ale prosiła, żebym ci to przekazała - powiedziała mama, wręczając anioła Russellowi.

Zaskoczony chłopak miał taką minę, jakby gipsowy anioł był prawdziwym, który sfrunął z nieba prosto w jego ramiona.

- Naprawdę, nie wiem, czy mogę go przyjąć - odezwał się w końcu.

- Byłaby zawiedziona, gdybyś odmówił.

- Jest piękny. - Russell popatrzył pytająco na Briannę.

- Musisz go przyjąć - powiedziała. - Moja prababcia dała ci swojego „Anioła Stróża”, bo dzisiaj ty byłeś jej Aniołem Stróżem.

- Proszę jej podziękować - zwrócił się do matki Brianny.

- Możesz sam to zrobić, jeśli nie musisz już jechać - odparła. - Za jakąś godzinę powinna wstać.

- Właściwie nigdzie mi się nie śpieszy.

- W takim razie może zjesz z nami kolację? - zaproponowała.

Miał ochotę zostać, ale wyraźnie się zastanawiał, czy wypada.

- Zostań - poprosiła Brianna.

- Chętnie. - Teraz nie wahał się ani chwili.

- Chodź, coś ci pokażę - rzuciła i zaprowadziła go do pracowni.

- Jak tu ładnie - powiedział, stanąwszy pośród aniołów. - Czuję się, jakbym był...

- W niebie?

- W niebie to ja jestem już od jakichś piętnastu minut, od chwili kiedy powiedziałaś, że zgodziłabyś się na to, żeby Vicky dała mi twój numer.

Na dworze było już ciemno. Mróz namalował na oknach pracowni fantazyjne kwiaty, ale w środku było ciepło i przytulnie. Brianna nanosiła cienkim pędzelkiem farbę na oczy średniej wielkości anioła. Zdążyła już nadać jego twarzy wyraz i wiedziała, że go nazwie „Filuterny”.

Russell staranie zawijał gotowe anioły w ochronną folię z kulkami wypełnionymi powietrzem i ustawiał jeden obok drugiego w dużym pudle. W przedświątecznym okresie sprzedawały się jak świeże bułeczki i właścicielka miejscowej galerii oraz Martha z San Francisco zamówiły dodatkowe dostawy. A tymczasem Lilly nabawiła się zapalenia oskrzeli i od kilku dni leżała w łóżku.

Brianna dwoiła się i troiła, żeby zdążyć z wykonaniem zamówienia, ale i tak nie poradziłaby sobie, gdyby nie pomoc Russella, który każdą wolną chwilę spędzał z nią w pracowni i robił wszystko to, co potrafił. Wypełniał gipsem formy, czyścił je, mył pędzle, a dziś jeszcze zajął się pakowaniem.

- Mozart? - spytał, kiedy odłożyła gotowego „Filuternego anioła” i nastawiła nową płytę.

Brianna roześmiała się. Zaraził się wprawdzie od niej bakcylem muzyki klasycznej, ale wciąż nie rozpoznawał kompozytorów i we wszystkich utworach doszukiwał się Mozarta.

- Preludia Chopina - sprostowała.

- Byłem pewien, że to Mozart.

- Zawsze jesteś pewien, że to Mozart.

Zanim znowu usiadła do pracy, podeszła i przytuliła się do niego. Nie przegapił tej okazji i ją pocałował.

- Bardzo ci żal, że nie jesteśmy na imprezie? - spytała.

Mieli dzisiaj iść na przyjęcie do jego kolegi, jednak widząc, że Brianna nie nadała z pracą, Russell zaproponował, żeby z tego zrezygnować. Chętnie się zgodziła, ale teraz ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Wcale - odparł Russell i pocałował ją w nos. Uwielbiała, kiedy to robił. Szybko wróciła na swoje miejsce i wzięła do ręki pierwszą z brzegu gipsową figurkę, obawiając się, że jeśli natychmiast nie zabierze się do pracy, tak się rozrzewni, że nie zrobi tego w ogóle.

- Na pewno nie żałujesz? - spytała, maczając pędzel w intensywnie pomarańczowej farbie. Coraz częściej odchodziła od tradycyjnie przypisanej aniołom palety barw i sięgała po

ryzykowne kolory, ale efekty były ciekawe.

- Imprez będą jeszcze setki, a taki wieczór jak dziś jest tylko jeden. - Nacisnął kilka powietrznych kulek w ochronnej folii i zrobił to z idealnym wycuciem rytmu w takt preludium Chopina. - Anioły, Mozart...

- Chopin - poprawiła go Brianna.

- No właśnie, Chopin.

Podszedł do akwarium. Żółt nie dawał Lilly spać i przed dwoma tygodniami ekipa fachowców przeniosła akwarium z dawnego pokoju Brianny do pracowni. Obie uznały, że tu, po pierwsze, żółt nie będzie nikomu zakłócał nocnej ciszy, a po drugie, jako że spędzały w atelier dużo czasu, nie będzie się czuł samotny.

- Pan Krokodyl - ciągnął. - I ty. Przede wszystkim ty.

Briannie zadrżała ręka, kiedy stanął za nią i poczuła na karku powiew jego oddechu. Dobrze, że malowała akurat włosy, a nie, na przykład, rzęsy.

Boże, jaka ja jestem szczęśliwa, pomyślała. Tak szczęśliwa, że bardziej już nie można.

Nieprawda, można, szepnął złośliwy duszek, mieszkający gdzieś w zakamarkach jej świadomości.

Nie, spierała się z nim Brianna, ale im bardziej próbowała mu zaprzeczyć, tym bardziej był natrętny.

Można, można, można, powtarzał obsesyjnie.

Odczep się ode mnie, nakazała mu, ale wciąż nie dawał jej spokoju i próbował ją przekonać, że do pełni szczęścia czegoś jej brakuje.

Złośliwy duszek miał rację. Czegoś jej brakowało.

Zrozumiała to po chwili.

Russell obrócił krzesło, na którym siedziała, o dziewięćdziesiąt stopni, złapał ją za ramiona i - zdecydowanie, ale nie brutalnie - zmusił ją, żeby wstała. A może wcale jej nie zmuszał, tylko zrobiła to sama.

Ktoś, kto ma metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, musi zadrzeć głowę, żeby spojrzeć w oczy komuś wysokiemu. Brianna, czując, że dzieje się coś ważnego, zrobiła to.

Nie było to z jej strony żadne poświęcenie. Od kiedy spotykała się z Russellem, ochoczo unosiła głowę, żeby popatrzeć w oczy swojego chłopaka, czasami zaciekawione, czasami rozmarzone, innym znów razem rozbawione, niepewne, wystraszone albo roześmiane.

Nigdy jednak nie były takie poważne jak teraz.

- Kocham cię - powiedział, ujmując jej twarz w obie dłonie.

Właśnie to próbował jej powiedzieć duszek, z którym przed chwilą się spierała. Wcale nie był złośliwy, tylko po prostu dociekliwy, i wiedział, że do pełni szczęścia brakuje jej tylko tego wyznania.

